PISMO INFORMACYJNO-KULTURALNE WSCHODNIEJ BIAŁOSTOCCZYZNY

Czasopis

CENA 1 zł 50 gr | ROK VIII NR 2 (73) | LUTY 1997

W NUMERZE:

FLISACY ZNAD NARWI



str. 21

Czasopis

Pismo Informacyjno-Kulturalne
Wschodniej Białostocczyzny
Ukazuje się co miesiąc

Wydawca
Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich

Adres redakcji
15-001 Białystok, ul. Suraska 1,
skr. poczt. 262
tel. 42-11-05

Redaktor naczelny
Jerzy Chmielewski

Zespół redakcyjny
Wiesław Choruży, Sławomir Iwaniuk, Jerzy Kalina (sekretarz redakcji), Dorota Sulżyk, Jerzy Sulżyk

Stali współpracownicy
Piotr Bajko, Doroteusz Fionik, Helena Głogowska, Mikołaj Hajduk, Sokrat Janowicz, Michał Kondratiuk, Mirosława Łuksza, Irena Matus, Michał Mincewicz, Sławomir Nazaruk, Jerzy Osiennik, Aleksander Sołowianowicz, Dorota Wysocka

Kompozycja typograficzna i skład
Jerzy Chmielewski

Druk
Orthdruk, 15-399 Białystok,
ul. Składowa 9, tel. 42-25-17

Prenumerata
Odpowiednio do liczby jednorazowo zamawianych egzemplarzy i okresu prenumeraty należy wpłacić wielokrotność 2,50 zł na rachunek: Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich PBK I/O Białystok 370406-6262-2700-1-74.
Nr indeksu 355035
ISSN 1230-1876

Pismo dofinansowane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki Rzeczypospolitej Polskiej.

Numer zamknięto 31 stycznia 1997 r.

Pamiętać o tradycji

W jednym z pierwszych „Czasopisów” opublikowaliśmy artykuł pod drażliwym tytułem „Język życia cerkiewnego, albo białostocka Wieża Babel”. Pamiętam, że wśród Czytelników wywołał on wielkie poruszenie. Kontrowersje wokół poruszonego tematu pojawiły się zarówno u osób świeckich, jak też duchownych. Ze strony hierarchów posypały się gromy, oskarżenia o heretyzm, zarzucono nam próbę obalenia odwiecznych zasad obrządku cerkiewnego. A wszystko to tylko dlatego, że mieliśmy odwagę poruszyć temat, zarezerwowany dla wąskiego grona duchownych. Żywe reakcje, jakie wywołał wśród wiernych, potwierdzały jednak rozdźwięk w dopasowywaniu się Cerkwi do zmieniających się uwarunkowań społecznych.

I oto wracamy do poruszonego ponad sześć lat temu tematu, ale już w spokojnej, umiarkowanej i znacznie poszerzonej formie. Jerzy Sulżyk, autor artykułu „Żywa Cerkiew”, twierdzi bowiem, że wypowiadanie się w sprawach własnej religii nijak nie powinno być ograniczane. Zamykanie się z tymi problemami jedynie w kręgach teologicznych na pewno nie rozwiąże wszystkich dylematów.

Dyskutując o „uwspółcześnianiu” Cerkwi, nie można zapominać o tradycji, mającej przecież podstawowe znaczenie dla zachowania tożsamości. Dlatego w „Czasopisie” tak wielką wagę przykładamy do historii i kultury naszych przodków. Ta bogata spuścizna z roku na rok coraz bardziej odchodzi w niepamięć. Chcąc ocalić od zapomnienia obraz naszego regionu, nawet ten z niedalekiej przeszłości, w swoim piśmie uwieczniamy dawne zwyczaje, obrzędy i zajęcia mieszkańców. W tym numerze Irena Matus przypomina flisaków, trudniących się niegdyś spławianiem drewna rzeką Narew. Artykuł pt. „Odpowiedz arelu” jest barwną opowieścią o ludziach i przyrodzie. Opisuje rzadkie rzemiosło Białorusinów, powszechnie utożsamianych z biednymi, ciemiężonymi chłopami. Nasi arele to prawdziwi bohaterowie. Byli silnymi, zahartowanymi ludźmi, którzy by przeżyć, częstokroć ryzykowali własnym życiem. Ich wzajemna solidarność budzi podziw także obecnie. Arele, kiedyś wrośnięci w nadnarwiański krajobraz, zostali zapomnieni. Oby tak samo nie stało się z całą naszą historią i tradycją.

Jerzy Chmielewski

Konkurs

Ogłaszamy konkurs dla stałych, wiernych Czytelników „Czasopisu”. Przez pół roku co miesiąc będziemy zamieszczać po dwa pytania — jedno dotyczące artykułów w kolejnych numerach, a drugie treści podręcznika „Ab naszym minułym”.

Razem z pytaniami będą drukowane kupony, które należy dołączyć do nadsyłanych odpowiedzi. Co miesiąc wylosowanym przez nas trzem osobom, które prawidłowo odpowiedzą na dwa pytania, ufundujemy koszulki reklamowe, kasety magnetofonowe i książki. Wśród Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe odpowiedzi na wszystkie dwanaście pytań i dołączą komplet sześciu kuponów, wylosujemy nagrodę główną — **rower górski.**

Do udziału w konkursie szczególnie gorąco zachęcamy uczniów szkół średnich i studentów. Odpowiedzi mogą nadsyłać także dorośli.

Życzymy szczęścia w grze.

Redakcja

Pierwsze dwa pytania są wydrukowane na str. 33.

Дня 15 студзеня 1997 г. пасля доўгай і цяжкай хваробы адышла з гэтага свету вучаніца I „б” класа Беларускага ліцэя ў Гайнаўцы АННА ДЫНКОЎСКАЯ. Словы спачування бацькам і брату выказваюць вучні і працаўнікі Гайнаўскага ліцэя.

Дня 15 студзеня 1997 г. пасля доўгай і цяжкай хваробы памёр на 18-ым годзе жыцця вучань III „ц” класа Беларускага ліцэя ў Гайнаўцы СЛАВАМІР КОСЬКА. Словы спачування бацькам выказваюць вучні і працаўнікі Гайнаўскага ліцэя.

OPINIE

■ *Dyziu, Ty w ogóle nie zdajesz sobie sprawy, co to znaczy być Białorusinem. A znaczy to zostać znienawidzonym **również** przez swoich, którym mój patriotyzm narodowy jest tak potrzebny, jak wrzód na dupie. Ten chłopo-pańszczyźniany naród marzy wręcz o tym, by wreszcie przestać być sobą. Wiesz, zmęczyłem się przez te czterdzieści lat białorusinowania, niech to szlag trafi. Zaczyna już mierzić mnie ta białoruska tematyka.*
Specyfiką społeczną kultury białoruskiej, zwłaszcza nowożytnej jej literatury, jest jej szlachecki rodowód, katolickie źródła. Gdy tymczasem 80 proc. motłochu białoruskiego — to prawosławni. Kultura białoruska zatem istnieje jak gdyby obok tego narodu, jako coś zewnętrznego, co słusznie zauważył Pawluczuk niedawno w „Polityce".
Nie ma takiego dnia, żeby ktoś nie „poczęstował" mnie w Krynkach Kacapem! Dyziu, czuję się umordowany tą Białorusią, jak i naszymi polskimi Białorusinami, którzy, analogicznie, czynią wszystko, by tu zostać Polakami, tam zaś Ruskimi. Zaczynam być wrogiem publicznym nr 1 dla wielu. Więc niech ich szlag trafi — idę na ryby i zaczynam żyć tylko dla siebie.

Sokrat Janowicz w liście do Dionizego Sidorskiego, redaktora naczelnego miesięcznika „Nowe Kontrasty", styczeń 1997 r.

■ *Funkcjonariusze odnoszą się w bardzo chamski sposób do polskich kierowców. Nie odezwą się do nas inaczej, jak „bladź". Czepiają się byle czego. Mówią, że „przekroczyłeś prędkość i masz płacić 10 marek". Nic nie pomaga, że jechało się z prawidłową prędkością. „Ja jeszcze dzisiaj nie kuszałem" — mówią. „Daj tuszonkę i 10 marek i możesz jechać". Czasami podwoziłem milicjantów i rozmawiałem o ich życiu. Mówili, że zarabiają około 40 dolarów miesięcznie. Myślę, że dlatego pasożytują na nas, kierowcach. Oni z nas po prostu żyją. Rosyjscy milicjanci jeszcze są znośni. Najgorzej traktują nas Białorusini. Nie wiem, może dlatego, że w Polsce kierowcy ze Wschodu też są gorzej traktowani przez naszą policję.*

Kierowca TIR-a o wschodniej milicji, „Gazeta Wyborcza", 3 stycznia 1997 r.

■ *Czy można się dziwić premierowi Wiktorowi Czernomyrdinowi, skoro jest on osobiście zainteresowany jako współwłaściciel rurociągu, który przebiega przez nasz kraj? Jeszcze nie skończyły się głosowania w naszej Radzie Najwyższej, a on już winszował prezydentowi Łukaszence zwycięstwa. Natomiast prezydent Borys Jelcyn nigdy nie poparł Łukaszenki.*

Siamion Szarecki, przewodniczący białoruskiej Rady Najwyższej, „Życie", 11-12 stycznia 1997 r.

■ *W tym roku mamy większą szansę niż poprzednio stworzyć własną listę wyborczą. Rządząca koalicja nie spełniła wobec nas obietnic. Na szczeblu regionalnym nie rozwiązano naszych spraw lokalowych, a na centralnym nie dokonano przebudowy gospodarczej Ściany Wschodniej.*

Antoni Mironowicz z Klubu Radnych Prawosławnych w białostockiej Radzie Miejskiej, „Gazeta w Białymstoku", 14 stycznia 1997 r.

■ *Język jest dobrem kultury, a bez kultury nie ma narodu. Utrata języka ojczystego jest równoznaczna z utratą tożsamości narodowej.*

Minister kultury i sztuki **Zdzisław Podkański**, „Gazeta Wyborcza", 18-19 stycznia 1997 r.

■ *Różne drogi do Boga nie są równie dobre. Mnie najlepsza wydaje się rzymskokatolicka i gdybym tak uważając zmienił wyznanie, albo i religię, byłbym świntuchem niegodnym zbawienia. Tyle tylko, że bez pomocy protestantów, prawosławnych i po trosze innych religii ta moja droga byłaby o wiele bardziej wyboista. Dziękuję Bogu, że dialog ją wyrównuje.*

Jan Turnau, redaktor „Arki Noego" w „Gazecie Wyborczej", 18-19 stycznia 1997 r.

■ *Dyrektor Puciłowski nie mówi już o programie w języku białoruskim, litewskim czy ukraińskim, ale o „okienku kresowym". Dla Puciłowskiego tych mniejszości narodowych jest u nas mnogość, swego czasu wspominał nawet o Ormianach. Gdy tymczasem wszyscy wiemy, że chodzi przede wszystkim o mniej więcej 200 tysięcy Białorusinów, zamieszkujących całą południowo-wschodnią część województwa i stanowiących znaczną część mieszkańców Białegostoku.*
Mniejszości, w tym głównie Białorusini, były głównym atutem Białegostoku w staraniach o powołanie regionalnej telewizji publicznej. Kiedy to już się stało, Puciłowski chce tym mniejszościom pokazać figę z „kresowego okienka".

Kazimierz Rosiński, „Kurier Poranny" 24 stycznia 1997 r.

Na okładce: „Flisak z siekierą", rzeźba Włodzimierza Naumiuka
Fot. ze zbiorów W. Naumiuka

Potrzebna szersza dyskusja

23 stycznia gościliśmy w redakcji Jerzego Muszyńskiego, prezesa Radia Białystok, którego zapytaliśmy o szanse i zagrożenia, jakie niosą media dla naszej społeczności. Dyskusję, w której uczestniczył także przewodniczący Związku Białoruskiego w RP, Eugeniusz Wappa, zdominował jednak problem przyszłego modelu obecności mniejszości w radiu.







Jerzy Chmielewski: — Jesteśmy świadkami rewolucji w świecie mediów. Rodzą się coraz to nowe tytuły prasowe, stacje radiowe i telewizyjne. Tymczasem przeciętny czytelnik, słuchacz i widz, zamiast mieć ułatwiony dostęp do informacji, rozrywki i interesujących go tematów, czuje się coraz bardziej zagubiony. Obecnie czytanie gazet sprowadza się najczęściej do ich przeglądania, zaś słuchanie radia i oglądanie telewizji to ciągła zmiana kanałów. Wydawcy i nadawcy, rywalizując o pozyskanie większej ilości odbiorców, a co za tym idzie o szerszy dostęp do rynku reklam, eksponują gatunki komercyjne — sensacje, muzykę i filmy tzw. „masowej produkcji" — wszystko to w połączeniu ze „zdrapkami", zabawami i konkursami. Na bardziej wyrafinowane programy z dziedziny kultury, sztuki, kina nie starcza miejsca. W przypadku radia i telewizji ambitne audycje nadawane są w porze najmniejszego odbioru, najczęściej nocą.

Komercjalizacja i agresywność mediów prowadzi do ich rosnącej dominacji w życiu społecznym, co rodzi zjawiska niekorzystne — szum informacyjny i marginalizację wartości intelektualnych. Dla nas, Białorusinów zamieszkujących wschodnią Białostocczyznę, rozszerzający się świat mediów niesie zagrożenie rozwoju ojczystej kultury, zachowania i kultywowania tożsamości narodowej. Między innymi dla ochrony tych wartości powołane jest radio publiczne. W jakim stopniu Radio Białystok spełnia to zadanie?

Jerzy Muszyński: — Nasza rozgłośnia ma ustawowy obowiązek bronić słuchaczy przed tymi zagrożeniami. Szczególnie media elektroniczne są takim zagrożeniem, bardziej agresywna jest telewizja, radio jest raczej medium towarzyszącym. Te środki przekazu są narzędziem silnie oddziaływującym na odbiorców. Nie dzieje się to jednak przypadkowo. Media zaczynają uniformizować się w skali światowej, szczególnie telewizja, co narzuca pieniądz, jego ciągły obrót. W rezultacie media, szczególnie komercyjne, muszą obniżać koszty produkcji. Stąd na przykład konfekcja japońskich filmów animowanych dla dzieci. Japończycy praktycznie opanowali produkcję kreskówek dla telewizji na całym świecie. Z tego niestety bierze się powszechne upodobnienie mediów. Telewizja uczy ludzi biernego odbioru, biernej formy uczestniczenia w kulturze. Kiedy nie było radia i telewizji, ludzie sami grali, muzykowali, śpiewali, co jest ważne dla folkloru. Jeszcze niedawno wieś białoruska śpiewała, dziś już nie śpiewa. I to jest istotne zagrożenie dla tożsamości tych ludzi. Ale takie procesy dzieją się w skali światowej, a my nie jesteśmy żadnym wyjątkiem i, obawiam się, że to już się nie zmieni.

Niepoddawanie się tym zagrożeniom w dużej mierze zależy od samej społeczności. Białorusini w naszym regionie są mniejszością liczną i gdyby mieli silną wolę akcentowania swojej obecności, to mogliby osiągnąć znacznie więcej. Tylko trzeba odpowiedzieć sobie na pytanie: Czy mają taką wolę? Ale powtarzam — ludzie, a nie działacze. Przecież rozwój szkolnictwa białoruskiego tak naprawdę zależy od rodziców — czy poślą dzieci do tych szkół.

Media w naszym kraju są skierowane generalnie do całego społeczeństwa, ale na pewno każdy — Tatar, Białorusin, czy Ukrainiec — jest i będzie osadzony w kulturze polskiej i musi w niej funkcjonować, bo jest obywatelem tego państwa. Według mnie, to jest oczywiste, bo odgradzając w jakikolwiek sposób poszczególne grupy, powstałyby getta. A przecież nie o to chodzi. Można jedynie się zastanowić, w jaki sposób społeczność białoruska może zachowywać wła-

---

Jerzy Muszyński, absolwent Politechniki Białostockiej, do 13 grudnia 1981 r. dziennikarz „Gazety Współczesnej". W latach 80. ukończył białostocki wydział reżyserii teatru lalek PWST w Warszawie. Od 2 maja 1990 r. prezes i redaktor naczelny Radia Białystok SA.

sną kulturę, język, swoją tożsamość. Co więcej, w jaki sposób może objawiać przynależność narodową. Powinno być normalnością, że każdy uczestniczy w kulturze na swój sposób, akceptując własną przynależność kulturową, językową i narodową. Trzeba dążyć do tej normalności.

J.Ch.: — Teoretycznie media powinny temu sprzyjać.

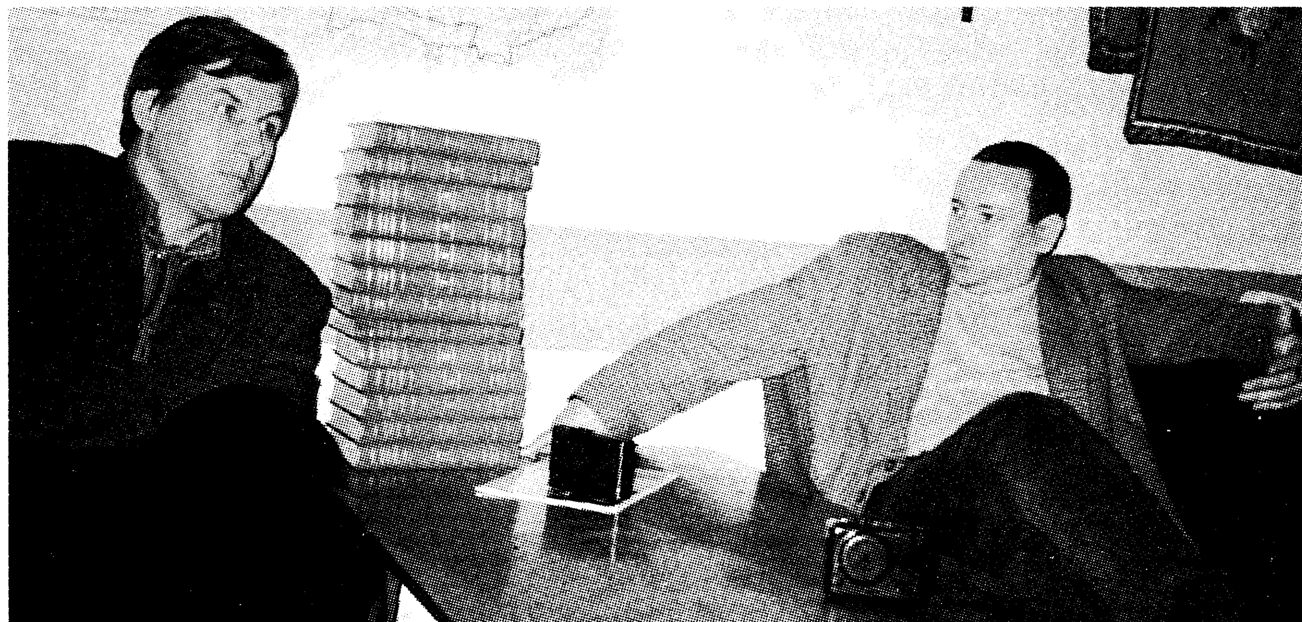
J.M.: — Tak. Ale tylko media publiczne, robione profesjonalnie, bez wpływów politycznych, są w stanie dać rzetelną informację, bez owych szumów. I w zasadzie tylko media publiczne są realną szansą, by mniejszości miały chociaż trochę swego radia, czy też kawałek telewizji.

Radio Białystok to umożliwia, ale działa w warunkach niepełnej samodzielności, część decyzji nie jest zależna od nas. Przede wszystkim staramy się wypełniać obowiązki, które na nas są nałożone. Można sobie jednak wyobrazić inną sytuację. Radio Białystok nie musi decydować, jak Białorusini mają się prezentować na tej antenie. Może należałoby przyjąć model wielokulturowości na przykład z Kanady? Tam państwo daje środki i pewne możliwości, ale sporo także zależy od samej aktywności danej grupy zainteresowanych osób. Wyjaśnię to na przykładzie prób powołania katedry języka polskiego i historii w Toronto. Państwo kanadyjskie mówi tak: jeśli dana mniejszość narodowa zbierze określoną ilość pieniędzy, to państwo funduje katedrę filologi i historii tego narodu. Z tym, że zebrane pieniądze są odkładane na konto, tworzy się fundację. I oczywiście Ukraińcy dawno mają tam swoją katedrę, a Polacy nie mają jej do dziś.

Jerzy Kalina: — Polskie prawo nie przewiduje takich rozwiązań. Żyjemy w kraju o innym ustawodawstwie niż w Kanadzie. Nasza ustawa o radiofonii i telewizji zakłada istnienie mediów publicznych, które mają obowiązek nadawania programów dla mniejszości narodowych. W jakim stopniu w praktyce jest realizowany ten zapis? Czy spełniane są oczekiwania zainteresowanych odbiorców?

J.M.: — Nie jest powiedziane, że w Polsce nie można wprowadzić modelu kanadyjskiego. Parlament takie zmiany może przeprowadzić. Tylko ktoś musi mieć taki pomysł i go przeforsować. Pan zadał jednak bardzo dobre pytanie. Sądzę, że „Czasopis" powinien przebadać społeczność białoruską za pomocą odpowiedniej ankiety. Możemy to zrobić razem, Radio Białystok chętnie będzie partycypować w kosztach. Możemy sprawdzić, czego ludzie oczekują, czego chcą od gazet, radia, telewizji.

Sytuacja Radia Białystok w odniesieniu do mniejszości jest obecnie bardzo niezręczna i trudna. Mimo dobrej woli z naszej strony, zawsze będziemy spotykali się z zarzutami, że radio nie spełnia oczekiwań. W dalszym ciągu zasady działania redakcji mniejszościowej nie są jasno sprecyzowane. Bo tak do końca nie wiemy, po co te audycje są robione, jakie zadania są przed nimi postawione, czego oczekują słuchacze.


Eugeniusz Wappa: — Za audycje odpowiadają zatrudnieni przez Pana fachowcy

J.K.: — A czy nie zadawał Pan pytania, po co nadawane są audycje w języku polskim?

J.M.: — Nie, nie, my tu się nie rozumiemy. Nadawanie audycji radiowych w języku mniejszości narodowych jest zadaniem specjalnym. Wielokrotnie mówiłem — jeśli społeczność białoruska chce mieć radio w języku białoruskim, to na pewno Radio Białystok nie ma takich możliwości. Nie ma takiej formuły, aby połączyć dwa w jednym.

Eugeniusz Wappa: — Pan, jako prezes, zatrudnia przecież dziennikarzy, którzy mają obowiązek realizowania programów dla mniejszości w zgodzie z jej oczekiwaniami. Za właściwą koncepcję tych audycji powinien odpowiadać kierownik redakcji. Oczywiście są dopuszczalne, a nawet pożądane, konsultacje. Jednak za to, jakie są te audycje — czy są ciekawe, atrakcyjne i wartościowe — odpowiadają zatrudnieni fachowcy, którzy je przygotowują oraz Pan, sprawujący nad nimi nadzór.

J.M.: — Ja nie zarzucam społeczności białoruskiej, że ona nie wie, jakie mają być audycje radiowe do niej skierowane. Ubolewam tylko, że dotąd nie zostało to sprecyzowane. Dziennikarze, chociaż wywodzący się z mniejszości i często rekomendowani przez organizacje mniejszościowe, mają ograniczony ogląd rzeczy. Oni dbają przede wszystkim o informację — żeby była aktualna i w pełni odzwierciedlała to, co się dzieje, czyli życie. Najczęściej sprowadza się to do kroniki wydarzeń. Jeśli społeczność jest aktywna, to dziennikarz ma dużo materiału do przekazania. W obecnej formule na szerszą publicystykę nie starcza już czasu na antenie.

Sądzę, że potrzebna jest szersza dyskusja nad przyszłym kształtem radia dla mniejszości. Taka dyskusja zostanie wywołana, gdy ruszy ośrodek telewizji publicznej w Białymstoku. Dotąd tym problemem w kraju w zasadzie się nie zajmowano. Ani parlament, ani KRRiT, ani Ministerstwo Kultury i Sztuki nie inicjowały jakiejś sensownej dyskusji na temat obecności mniejszości narodowych w mediach. Wymusiło to dopiero zbliżające się wejście Polski do Unii Europejskiej i próba ułożenia normalnych stosunków dobrosąsiedzkich z Litwą, Białorusią i Ukrainą. Raptem okazało się, że należy tym problemem zajmować się na najwyższym szczeblu. Premier musi teraz wiedzieć, co te mniejszości w Polsce mają. Kiedy zaczną się awantury wokół białostockiej telewizji, bo niewątpliwie skończy się to awanturami, powstanie szansa przeprowadzenia sensownych rozmów i wypracowania ustaleń odnośnie dostępu mniejszości do mediów. Istniejący model jest anachroniczny i należałoby wreszcie coś z tym zrobić.

J.K.: — Oczekuje Pan ustaleń odgórnych, a to jest bardzo wygodne rozwiązanie. Dlaczego nie wypracować tego modelu wspólnie z mniejszościami?



J.M.: — No właśnie. Anachroniczność, o której mówię, polega też na tym, że mniejszość nie musi podejmować żadnego wysiłku i w zasadzie nie ponosi żadnej odpowiedzialności. A w świecie naprawdę wypracowano już wiele sensownych rozwiązań dotyczących uczestnictwa mniejszości narodowych w kulturze i w mediach. Niekoniecznie musimy wymyślać coś nowego, przecież na każdym pograniczu jest podobna sytuacja jak u nas. Chcę podkreślić, że rozgłośnia białostocka jest przygotowana do realizacji programu wielonarodowościowego według modelu kanadyjskiego. Od strony technicznej takie zadania możemy podjąć od zaraz. Ale czy mniejszość jest w stanie takie rozwiązanie wykorzystać? To już zależy od jej aktywności i mobilności. Tak naprawdę nie wiadomo, czy ta społeczność powszechnie chce być obecna w mediach jako Białorusini i jakie w tym zakresie są jej oczekiwania.

Jerzy Sulżyk: — Jest to wyraźnie sytuacja nienormalna. Z jednej strony społeczność oczekuje od radia, by umożliwiło jej dostęp do anteny, a z drugiej strony radio oczekuje od tych słuchaczy pewnych ustaleń. Kto powinien zainicjować tę dyskusję?

J.M.: — Niezbędna jest dyskusja na poważnym szczeblu, najlepiej w Sejmie.

J.Ch.: — To, w jakim stopniu audycje dla mniejszości spełniają jej oczekiwania, można sprawdzić głównie na podstawie ich słuchalności. Jak jest z tym obecnie?

J.M.: — Z naszych badań wynika, że audycje dla mniejszości narodowych mają niską słuchalność w dni powszednie, a w niedziele rośnie ona lawinowo. Świadczy to o tym, że mnóstwo ludzi identyfikujących się z tymi audycjami mieszka na wsi, a cykl pracy często uniemożliwia im słuchanie swoich programów w dowolnym czasie. Okazuje się, że niedzielny poranek, kiedy rolnik ma lekki oddech po obrządku i śniadaniu, jest porą idealną. Dlatego poważnie się zastanawiamy, czy części materiałów z tygodnia nie powtarzać w syntezie w niedziele, gdyż wiele osób tych informacji nie słyszało.

E.W.: — Istnieje zatem potrzeba poszerzenia czasu antenowego dla tychże audycji. Nie można zgodzić się z Pańskimi wątpliwościami odnośnie braku powszechnego zainteresowania tym problemem ze strony naszej mniejszości. Przypominam, że Związek Białoruski w RP rok temu zebrał dziesięć tysięcy podpisów pod postulatem zwiększenia czasu antenowego dla audycji białoruskich i prawosławnych.

J.M.: — Ciągle jednak ludzie są psuci poprzez to, że daje się im coś za darmo. Przyzwyczaja się społeczeństwo, że uczestnictwo w kulturze nie kosztuje. Należy wymuszać aktywność i odpowiedzialność ludzi.

J.K.: — Pan unika jednak uznania potrzeby zwiększenia wymiaru czasowego audycji białoruskich.

J.M.: — Ile powinien on wynosić?

E.W.: — Co najmniej pół godziny dziennie.

J.M.: — Tak mało? Ja myślałem o dwóch-trzech godzinach dziennie.

E.W.: — Trzymajmy się realiów.

J.M: — Otrzymane środki na rok bieżący pozwalają realizować te programy tylko w dotychczasowym wymiarze. Pewne kroki w kierunku zmian jednak zrobimy. W tym roku realne może być poszerzenie ramówki mniejszościowej w soboty.

J.Ch.: — Należałoby zwiększyć obecność tematyki białoruskiej także poza wyznaczonymi okienkami. Czy piosenki białoruskie muszą być nadawane tylko w audycjach białoruskich?

J.M.: — Sprawy białoruskie staramy się przedstawiać w ciągu całego dnia. W odniesieniu do piosenek rozpoczynamy dyskusję, którą wczoraj mieliśmy u siebie. Rozmawialiśmy mianowicie o przeciwstawieniu się zalewowi muzyki anglojęzycznej. W tej chwili są już narzucone bardzo twarde reguły, ile ma być piosenki polskiej. Podobnie zdecydowanie będę nalegał, by pojawiały się piosenki nieanglojęzyczne. Szczególnie nas interesują najbliżsi sąsiedzi, czyli piosenka rosyjska, białoruska, ukraińska, a także francuska, włoska. KRRiT takie kroki popiera, a nawet inicjuje. Postaramy się zatem przełamać stereotypy, wycofując z anteny sztampową estradę amerykańską. Ale tych nagrań mamy naprawdę niewiele — trochę muzyki z „Basowiszcz", „Jesieni Bardów" i miejscowego folkloru. W obecnej sytuacji politycznej pozyskanie materiałów muzycznych z Grodna i Mińska jest mało realne.

Wracając do problemu poszerzenia czasu antenowego, chcę podkreślić, że dotyczy to nie tylko Białorusinów, Litwinów i Ukraińców, którzy mają swoje audycje. Domagają się ich także Tatarzy, prędzej czy później „obudzą się" również Romowie. Obawiam się, że jeśli KRRiT nie przydzieli nam drugiego programu, tym zadaniom nie sprostamy, nie wykorzystując tym samym szans, które niesie wielokulturowość naszego regionu.

J.S.: — Owe podkreślanie wielokulturowości w przypadku radia rodzi dość zabawne i dziwne sytuacje. Oto bowiem jednego dnia dziennikarz z redakcji białoruskiej jedzie do wsi koło Bielska Podlaskiego i przygotowuje materiał dla potrzeb swojej audycji, rozmawiając z ludźmi jako Białorusinami. Następnego dnia jego śladem podąża dziennikarz z programu ukraińskiego, rozmawiając z tymi samymi ludźmi, ale już jako Ukraińcami. Tak przynajmniej ich określa w emitowanym programie. Ostatnio zdarza się to coraz częściej. Wątpliwe, czy w ten sposób właściwie postrzega się wielokulturowość regionu. Obawiam się, że przeciwnie.

J.M.: — To jest problem samookreślenia się mieszkańców wschodniej Białostocczyzny. Jako odpowiedzialny za audycje mniejszościowe w radiu, zabroniłem dziennikarzom, aby w jakikolwiek sposób próbowali określać przynależność narodową swoich rozmówców. Bo tak naprawdę narodowość pozostaje sprawą sumienia, a dla wielu tutejszych ludzi nie ma to znaczenia. Ludzie przeważnie nie chcą precyzyjnie się określać, czy są Białorusinami, czy Ukraińcami. Na pograniczu, którym jest Białostocczyzna, jest to bardzo trudne. Każda próba wymuszania samookreślenia może skończyć się bardzo niedobrze. Tragiczny przykład dała wojna w Jugosławii.

Podsumowując główne problemy poruszone w tej dyskusji, uważam, że potrzebna jest pomoc środowisk białoruskich w określeniu, po co te audycje będą robione i jakie zadania trzeba przed nimi postawić. Wtedy można będzie rozliczyć dziennikarzy: czy pracują dobrze, czy źle? Postulowane rozszerzenie czasu antenowego zależy od przyznanych na ten cel pieniędzy

Oprac. (jc)

Fot. J. Kalina

Jerzy Sulżyk

Przystanek na żądanie



Wsiadałem do autobusu, gdy zaczynało już zmierzchać. Jeden z pasażerów zatrzymał się przy kierowcy i dłużej z nim rozmawiał. Prosił, żeby włączył światło w autobusie, bo chce poczytać gazetę.

— Światło? A po co? To nie podmiejski autobus, żeby cały czas świecił. Wystarczy, że włączę na przystanku — kierowca najwyraźniej starał się pozbyć natręta.

— Ale co przez pół godziny robić w ciemnym autobusie? Niech pan zaświeci — pasażer nie rezygnował.

— Zaraz jak ci zaświecę, to ci się odechce czytania. Siadaj i nie dyskutuj!

Po tych słowach, młody, dwudziestoletni może chłopak, zrezygnował z dalszej rozmowy i upokorzony usiadł niedaleko za mną.

Kierowcy PKS-u często zwracają się do młodych pasażerów na ty, może dlatego, że ich najczęstszymi klientami są uczniowie białostockich szkół średnich. To się nazywa skracanie dystansu, bo przecież wchodząc do autobusu stają się jakby jedną rodziną — wspólnotą drogi. A kierowca jest jej ojcem i przywódcą zarazem. Łatwo potrafi potwierdzić swoją pozycję i wszyscy bez szemrania muszą przyjmować jego warunki. Jedzie szybko, albo powoli, zatrzymuje się na przystanku, albo nie, zapala światło, albo jedziesz w ciemnościach, włącza radio, albo kasetę z disco polo... Dzisiaj jest wyraźnie zdenerwowany. Zapalił więc papierosa, choć tuż nad jego głową wisi tabliczka z napisem: „Tu nie palimy!"

Na pierwszym siedzeniu, obok, kołysał się pijany w sztok kolega „z branży".

— *Ty zabacz, jaki hauniak, świattła jamu zachciełasa* — wymamrotał oburzony. Kierowca nic nie odpowiedział i ruszyliśmy.

Jedziemy

z Białegostoku do Gródka. Trasa jak każda inna. Codziennie autobusy przewożą tędy parę setek osób, zbierają pasażerów po wsiach rozrzuconych niezbyt gęsto po puszczy i na jej obrzeżach. Ludzie jeżdżą do pracy, do szkoły, czasem coś kupić, coś sprzedać, czasem dla rozrywki. Białystok przyciąga wszystkich, nieraz tak mocno, że już tam zostają. Te nowe osiedla białostockie, te Stoki, Stoczki, Doliny, Wzgórza i Wygody zasiedlili ludzie ze wsi. A zaczęło się od tego, że pewnego dnia, wiele lat temu, ktoś zapragnął wyjechać ze wsi i wsiadł do autobusu. I mimo że wrócił w sobotę, to w niedzielny wieczór znowu poszedł trzy kilometry do szosy, znowu wsiadł i odjechał. I już przyjeżdżał rzadziej. A po kilku latach został na stałe w mieście. Od tej pory był gościem w swojej wsi.

Autobusy wywiozły białoruskie wsie do miasta. Stale wywożą. W niedzielne wieczory wyjeżdżają ci młodzi ludzie, którzy jeszcze na wsiach, przy rodzicach, pozostali. Przez czterdzieści lat ten sam prawie rytuał kołysał owym życiem. W piątek (a wcześniej w sobotę) wieczorem zjeżdżali do domów ze szkolnych internatów i stancji Białegostoku, Bielska, Hajnówki, aby pooddychać swoim powietrzem. I pomóc przy gospodarstwie. Planowano więc na weekendy młócenie zboża, wywożenie gnoju, szykowanie drewna na zimę i inne poważniejsze prace.

— Czekałem na taki dzień, bo potrzebowałem domu. W nim było wszystko na swoim miejscu, mimo że nie było tam łazienki, zamiast kaloryferów stały kaflowe piece, a do ubikacji szło się na dwór. Od autobusu trzeba było iść prawie dwa kilometry, przeważnie po ciemku. Ale do dzisiaj pamiętam to uczucie, które mnie nawiedzało, jak wychodziłem z lasu i dostrzegałem pierwsze światła w oknach chat mojej wioski. Tak jakoś dziwnie człowiek się cieszył. To było jak spełnienie oczekiwania, które narastało we mnie przez każdy tydzień życia w mieście.

Dzisiaj Olek mieszka w Białymstoku. Tu pracuje, założył rodzinę. Mieszka z żoną i córką w bloku.

— Wtedy już wiedziałem, że zamieszkam w mieście. Po to się uczyłem. W mojej rodzinnej wsi musiałbym pracować na gospodarce, na ziemi piątej i szóstej klasy. Byłaby to wegetacja. Moi rodzice są na rencie, a ja często ich odwiedzam. A gdy wjeżdżam samochodem do wsi, jak już biorę ostatni zakręt przed leśniczówką, to wydaje mi się, że odczuwam to samo, co piętnaście lat temu wychodząc z lasu. Co dom, to dom. Widać tamtemu w Białymstoku czegoś brakuje.

Białostockie wsie inaczej jeżdżą dziś autobusami, niż te

15-20 lat temu. W piątki nie przyjeżdża już tak wiele osób, nie ożywa, jak dawniej, wieś Olka, bo nikt nie jeździ stamtąd do szkoły, nie mieszka w internacie. Przeciętny wiek mieszkańca — jak mówi — mieści się w przedziale od 40 do 50 lat, a i to tylko dlatego, że jest tam jedno młode małżeństwo z trójką małych dzieci. Dzisiaj autobusy jeżdżą tamtędy puste. Nie trzeba się pchać, jak kiedyś, żeby zabrać się do miasta. A kierowcy nie są już tymi panami, co zamykali drzwi przed nosem podnieconego tłumu (iluż to wrogów na wsiach zrodziła dawna pekaesowska protekcja, gdy kierowca zabierał ludzi po znajomości).

Autobusy

wyznaczały czas. Jak wschód i zachód słońca, bicie dzwonów, pianie koguta. Przejeżdżający autobus był ważnym wydarzeniem w spokojnym życiu wsi. Nie dziwi więc, iż rozkład jazdy tak utrwalił się w świadomości jej mieszkańców, że do dzisiaj pamiętają dokładnie stare godziny odjazdów, a poszczególne autobusy ochrzczono stosownymi, „godzinowymi" imionami: „siódemka", „dwunastka", „trójka" (po południu) itp. Te nazwy przetrwały do dziś, mimo że autobusy odjeżdżają o zupełnie innym czasie.

Autobus żyje własnym życiem. To przestrzeń niemalże magiczna, ze swoimi zasadami, rytuałami. Posiada też własną niepowtarzalną „atmosferę" — powietrze przesiąknięte charakterystycznym zapachem. Jadą tu robotnicy, którzy aromatyczny kod swojej fabryki przenoszą na ubraniu (ten obok mnie, po drugiej stronie, jest na pewno jakimś mechanikiem, bo pachnie benzyną i smarami), ale też i panie pracujące w biurach, wyperfumowane, choć już nie tak świeże, jak z rana, wiejskie kobiety rozsiewające mleczną, krowią woń, młodzież określająca się aromatycznie mieszaniną bekonowych chipsów, miętowej gumy do żucia i skórzanych kurtek kupionych na bazarze. Wszystko to zlewa się z papierosowym dymem, który wcale nie dyskretnie wypełnia stopniowo cały autobus.

Mężczyzna,

z którym siedziałem, był towarzyski. Mimo że bardziej gadatliwy niż szczery, okazał się doskonałym rozmówcą i towarzyszem podróży, która bez niego, podejrzewam, dłużyłaby mi się nieco. Od razu podjął rozmowę.

— Pan daleko jedzie? — zapytał.

— Do Gródka — odpowiedziałem.

— Ja wysiadam wcześniej, w Załukach. A potem jeszcze muszę parę kilometrów zasuwać do Kondycji, do dziadka.

Tutaj popłynęły wynurzenia na temat dziadka, dawnego gajowego, człowieka starej daty, ale jeszcze zdrowego i silnego, mimo swoich osiemdziesięciu lat.

— Wszystkie zęby ma swoje — dumnie podkreślił mój rozmówca. — Pan ma? — spojrzał na mnie. — Bo ja, nie.

Uśmiechnąłem się. Mężczyzna wyjął z torby jedno piwo. Zapytał, czy nie będzie mi przeszkadzać, jeśli sobie wypije. Odpowiedziałem, że nie. Pił powoli. Gdy doszedł do połowy, postanowił zapoznać się ze mną bliżej.

— Franek jestem — wyciągnął rękę i uścisnął moją dłoń, którą podałem jakby odruchowo. — Lubię sobie tak piwo wypić. A ty?

— Ja? No też czasami. Jak mam ochotę.

— Ale nie każdego na to stać, żeby tak codziennie piwko sobie strzelić, co? — rzekł dumnie, z nutą wyższości w głosie. — A mnie na przykład stać. I piję sobie.

— To dobrze — rzuciłem tak lakonicznie, bo szczerze zaskoczył mnie swoim „piwem, na które było go stać". Widać uważał, iż rzeczywiście nobilitowało ono człowieka do grona ludzi sukcesu. Zresztą, kilka większych łyków utwierdziło go w tym przekonaniu. Opowiedział mi o swoim pobycie w Ameryce, o odłożonych w banku oszczędnościach, które zabezpieczały go wraz z rodziną na resztę żywota. Dzisiaj jest urzędnikiem w Białymstoku i odpowiada mu taka praca, gdy ludzie przychodzą do niego i stale o coś proszą.

— Jak prosi, to czemu mam nie załatwić, nie?

Na końcu autobusu usiadł wielki, gruby mężczyzna. Wszystko zdawało się być za małe w porównaniu z jego ogromną postacią, a najbardziej chyba jego ubranie. Kapelusz, a raczej kapelusik, zakrywał zaledwie czubek głowy, kurtka zapinała się tylko na jeden guzik, a spodnie podciągnięte były wysoko nad kostkę. Jedynie ogromna, pusta torba stanowiła akcesorium o podobnej skali. Zajął miejsce za dwóch. Dosiadła się do niego później starsza, ubrana po wiejsku kobieta. W rękach trzymała dwie, wypełnione zakupami, parciane torby. Znali się, więc

rozmawiali.

— *Szto tam czuwać?* — zapytał mężczyzna.

— *A ze szpitala jedu, stary prychwareu* — śpiewnym głosem odpowiedziała kobieta.

— *Oho! To niedobro, niedobro. A szto jamu takoha?*

— *Wrzody hawòrać. Pierad niadzielaj pogotowie zabrało jaho z chaty.*

— *Oho, wrzody. To niedobro, niedobro. A dzie lażyć?*

— *U gigancie, na chirurgii.*

— *Aha, na chirurgii. O, to kiepsko, to kiepsko.*

— *Była dziś u dochtara, zaniasła jamu jajek. Każa, szto treba rabić aperacyju, ale stary użo słaby i nie wiedajuć, czy pierażywie.*

— *O! Aperacyja... To kiepsko, kiepsko z nim. A szto jamu takoje?*

— *Toż hawaru, szto wrzody!..*

Rozmowa przeciągała się. W autobusie zrobiło się już zupełnie ciemno. Widać było jedynie kolorowe lampki świecące na desce rozdzielczej przy kierowcy. Nieco wyżej, nad szybą, migało w rytm znanego przeboju disco polo „Żółte tulipany", zielono-czerwone serce, ułożone z malutkich LED-ów. Unieruchomieni pasażerowie, których zarysy były ledwie dostrzegalne, z odchylonymi do tyłu głowami, wyglądali jak zahipnotyzowani uczestnicy jakiegoś spirytystycznego seansu. Ciemność — rytm — pulsowanie światełek — kołysanie — szum silnika. Wszystko to razem obezwładniało jakoś człowieka, poddawało panującej w autobusie aurze.

Okno przede mną samo się otworzyło. Zimne powietrze wdarło się do środka i ożywiło mnie od razu. Zasunąłem szybę, ale ona, drżąc mocno na nierównej drodze, znów zaczęła się przesuwać. Strasznie rozbite są te autobusy. Na trasie do Gródka często jeżdżą wysłużone jelcze, popularnie zwane empekami, bo do niedawna jeszcze obsługiwały miejskie, białostockie linie. Wycofano je stamtąd. Jazda w takim autobusie przywodzi mi na myśl filmy, których akcja dzieje się na bezdrożach Afryki czy Bliskiego Wschodu, gdzie rozklekotane pojazdy, hałasując niemiłosiernie i wypełniając się kurzem, wloką się po wyboistych pustynnych drogach i bezdrożach. Gminne drogi, żwirówki, wyboiste i rozjeżdżone, jako żywo przypominają tamtą rzeczywistość. Latem pełno w jadących po nich autobusach kurzu — aż tchu brakuje, zimą wiatr i mróz przez

skorodowane blachy karoserii z łatwością przenikają do pasażerów, którzy cierpliwie muszą swoje odmarznąć. Bo też i to wlicza się w koszta awansu, który gwarantuje autobus jadący ze wsi do miasta, gdzie czeka praca, dobrobyt i nowoczesność.

Wczoraj tym samym autobusem jechało

czterech pijanych mężczyzn.

Usiedli na końcu, gdzie fotele stały naprzeciw siebie. Zachowywali się głośno. Mieli ze sobą „pół litra", które jakimś cudem ocalało jeszcze z ich wcześniejszej imprezy. Hańbą byłoby nie dopić tego, co się ma, butelka krążyła więc z rąk do rąk. Pili „z gwinta". Zaczepiali siedzące niedaleko młode dziewczyny, które wracały ze szkoły, ale te, zdegustowane, przesiadły się czym prędzej. Zostawiły zalotników z ich niewybredną, choć wykorzystaną prawie do cna, panienką — wódką. Oni zaś, zdenerwowani taką reakcją, posłali za nimi odpowiednią „wiązankę". Tylko jeden z nich, nieco starszy, uspokoił resztę krótko: — *Zastaucie hety siksy!*

Słowa te idealnie pasowały do sytuacji, bo kawalerowie wyglądali na co najmniej 35-40-letnich i właściwie mogliby być ojcami tych dziewczyn. Ale oni wciąż byli do wzięcia. Dwóch akurat odebrało tego dnia zasiłek dla bezrobotnych, pozostali wzięli niedawno po „cztery bańki" wypłaty. I „rządzili", jak sami oznajmiali głośno na cały autobus.

Na wsiach pełno jest starych kawalerów. Zostali sami, przy rodzicach, i zestarzeli się. Dawniej, przez swatów, znaleziono by im jakieś panny, dzisiaj rodzice, zdezorientowani swobodą obyczajów, pozostawiają swoim synom samodzielny wybór. A ci często nie potrafią go dokonać, albo po prostu nie mają kogo wybrać. Zresztą, kto by ich chciał?

Rano

o 6.20 autobus z Gródka do Białegostoku odjeżdża z kompletem pasażerów. Większość miejsc zajmuje młodzież, która już o tej godzinie musi wyjeżdżać, żeby zdążyć na ósmą do szkoły. Niektórzy wyjmują zeszyty (jeśli kierowca włączy światło) i powtarzają lekcje, inni wkładają słuchawki walkmanów na uszy i wyłączają się na prawie godzinę z życia. Dwóch mężczyzn w średnim wieku rozmawia głośno po białorusku. Mówią o zarobkach. Firma, w której razem pracują, płaci im po trzy i pół miliona, a sam tylko bilet miesięczny na autobus kosztuje milion dwieście. Ale Gródek nie może im nic lepszego zaproponować, a muszą przecież jakoś utrzymać rodziny. Autobusem jeżdżą od piętnastu lat, codziennie, rano tam, wieczorem z powrotem. Dzień w dzień dwie godziny w drodze. Ich dzieci za rok zaczną przemierzać tę samą drogę. Do szkoły. Wielopokoleniowym autobusem.

***

Białystok, jak dobry opiekun, przygarnia tysiące ludzi zjeżdżających tu codziennie autobusami z całej okolicy. Na miejskich przystankach PKS rano robi się gwarno. Przepełnione autobusy wypluwają z siebie ludzi o wygładzonych, jeszcze lekko zbrzękniętych po zbyt krótkim śnie, twarzach. Trochę odrętwiali, powoli pobudzają swoje ciała do życia. Rozbiegają się i gubią w zakamarkach fabryk, biur, szkół, sklepów. Na cały dzień przekształcają się w „miastowych" — osoby, których poza zdaje się być ich prawdziwym obliczem. Białystok staje się stolicą regionu, przestrzenią wypełnioną tysiącami spraw do załatwienia, tych ważnych i zupełnie błahych. Kiedy po południu te same, wyładowane po brzegi, autobusy zabierają



ludzi z powrotem do ich domów, na prowincję, wypełnieni miastową substancją, owiani miejskim powietrzem, wywożą po kawałku Białystok. W torbach, walizkach, brzuchach, książkach, gazetach, ale też w spojrzeniach, myślach i odczuciach. Zanim wsiądą do autobusu, pchają się, ale raczej dyskretnie, nie jak kilkanaście lat temu, brutalnie, łokciami. Pchają się gestami, grymasem twarzy, spojrzeniami. Walczą o dobre, wygodne miejsce na miękkim, autobusowym fotelu, żeby schronić się, przeżyć spokojnie pół godziny podróży, która przeniesie ich z powrotem do domu.

Jerzy Sulżyk

Fot. L. Tarasewicz

Reportaż zdobył drugą nagrodę w konkursie „Białoruskie pejzaże"

ЛЮТЫ

■ ...гадоў таму

1005— У 992 г., паводле летапісаў, былі заснаваны ў Полацку і ў Тураве епархіі і пастаўлены епіскапы. Пачалася хрысціянізацыя беларускіх зямель.

930 — 1067 г. Крывавая бітва на Нямізе пад Менскам полацкіх дружын на чале з князем Усяславам Чарадзеем супраць нашэсця паўднёварускіх князёў Яраславічаў.

620 — У 1377 г. у Вільні на трон вялікага князя літоўскага ўзышоў князь віцебскі Якаў-Ягайла.

360 — 5.02.1637 г. памёр Вельямін Руцкі (нар. к. 1574 г.), уніяцкі мітрапаліт, творца Ордэна базыльянаў, заядлы праследнік праваслаўных і насаджальнік уніі на беларускіх і ўкраінскіх землях.

190 — 11.02.1807 г. нар. Напалеон Орда (пам. 26.04.1883 г.), нарадзіўся і большасць жыцця правёў на беларускім Палессі, кампазітар і мастак, аўтар знакамітых паланезаў, зрабіў некалькі соцень замалёвак важных культурных

аб'ектаў (на Беларусі каля 200), Украіне і Літве, яны часта адзіныя дакументы аб загінуўшых аб'ектах і дасканалыя мастацкія творы.

145 — 21.02.1852 г. у Мінску адбылася пастаноўка трупай В. Дуніна-Марцінкевіча першай беларускай оперы „Ідылія" С. Манюшкі і К. Кжыжаноўскага.

125 — 29.02.1872 г. нар. Вітольд Бялыніцкі-Біруля (пам. 18.06.1957 г.), выдатны жывапісец, вучань лепшых расейскіх мастакоў, вельмі плённы ў творчасці і грамадскай дзейнасці, карціны на беларускія тэмы: „Зноў расцвіла вясна", „Беларусь. Пачатак лета", „Зялёны май", „Заzелянелі беларускія бярозкі" (усе ў 1947 г.)

95 — 16.02.1902 г. нар. Рыгор Мурашка (загінуў у партызанах у 1944 г.), пісьменнік, друкаваўся з 1924 г., аповесць „У іхнім доме" (1929), раманы: „Сын" (1929), „Салаўі святога Палікарпа" (пасмертна, у 1967), апавяданні.

— 24.02.1902 г. нар. Іван Хвораст (пам. 1.07.1983 г.), балетмайстар, збіральнік беларускага танцавальнага фальклору (у тым і на Беласточчыне), танцаваў на сцэне з 1928 г., спачатку ў гуртку Віленскай беларускай гімназіі, у 1940 г. у Беластоку арганізаваў балетную групу ў славутым ансамблі песні Рыгора Шырмы, саліст мастацкай брыгады на фронце, саліст балета Беларускай філармоніі, стварыў шэраг сцэнічных форм беларускіх народных танцаў: „Мікіта", „Падушачка", кампазіцыі: „Паланез Агінскага", „Світанак над Свіцяззю", аўтар зборніка „Беларускія танцы" (1974, 1977).

— 28.02.1902 г. нар. Павел Гаўрыленка (пам. 4.02.1961 г.), жывапісец, заснавальнік Саюза беларускіх мастакоў, франтавік, у выстаўках удзельнічаў з 1927 г., найбольш вядомыя карціны: „Будоўля" (1932), „Прарыў нямецкай абароны" (1942), „Партызаны на Палессі" (1944), „Вясна" (1958).

90 — 14.02.1907 г. нар. Алесь Звонак, паэт, друкуецца з 1925 г., аўтар каля 20 зборнікаў паэзіі, многа перакладаў на беларускую мову з розных літаратур, артыкулы па мастацтвазнаўству, сцэнарыі фільмаў пра беларускіх пісьменнікаў.

85 — 1.02.1912 г. нар. Мацей Юзаф Канановіч, польскі пісьменнік і вельмі плённы перакладчык і прапагатар беларускай літаратуры ў Польшчы, друкуецца з 1936 г., аўтар некалькіх зборнікаў свае паэзіі і дзесяткаў кніг перакладаў.

— 12.02.1912 г., першая пастаноўка п'есы Я. Купалы „Паўлінка" (у Вільні) у прысутнасці аўтара.

— 26.02.1912 г. нар. Уладзімір Карпаў (пам. 6.08.1977 г.), пісьменнік, партызан, затым разведчык-франтавік, друкаваўся з 1945 г., аповесць „Без нейтральнай паласы" (1950), раманы: „За годам год" (1957), „Вясеннія ліўні" (1961), „Нямігі крывавыя берагі" (1962), „Сотая маладосць" (1971), апавяданні, нарысы.

75 — 18.02.1922 г. нар. Мікола Браценнікаў, скрыпач, франтавік, выкладчык Беларускай кансерваторыі, выдатны выканаўца твораў беларускіх і замежных кампазітараў.

— 18.02.1922 г. нар. Міхась Савіцкі, сучасны вядучы мастак Беларусі, франтавік, вязень нямецкага канцлагера, у выстаўках удзельнічае з 1957 г., плённы творца і актыўны грамадскі дзеяч, найбольш вядомыя цыклы карцін, якіяствараў доўгія гады: „Партызаны", „Памяці падпольшчыкаў", „Мадонны", „Лічбы на сэрцы", „Сейбіты" і інш.

65 — 22.02.1932 г. нар. Іван Місько, скульптар, удзельнік выставак з 1957 г., працы: скульптуры выдатных людзей Беларусі — Я. Цікоцкага, Г. Бураўкіна, Я. Маўра, П. Клімука, У. Кавалёнка, помнікі ім.

50 — 20.02.1947 г. нар. Валерый Мазынскі, рэжысёр улюбёны ў пастаноўку твораў беларускіх драматургаў, пісьменнікаў, паэтаў, надзвычай таленавіты і працавіты чалавек нацыянальнай беларускай сцэны.

— 23.02.1947 г. нар. Валерый Кучынскі, спявак, саліст Беларускага опернага тэатра, Беларускага радыё і тэлебачання, на сцэне з 1947 г., беларускі і класічны рэпертуар, песні беларускіх кампазітараў.

(мг)

■ Калісь пісалі

19 траўня с.г. выпала цагліна з беларускага гуртка ў Крынках. Памерла Насьця Кішкель, беларуская вучыцелька. Насьця Кішкель — гэта адна з дзяўчат у Крынках прынімаўшая самае энэргічнае ўчасьце ў працы гэтага гуртка і праўду трэба сказаць, яна была самая першая з усіх нашых беларускіх працаўнікоў м. Крынак у справах адраджэньня нашай Бацькаўшчыны. Калі, яшчэ за немцамі, зварухнулася беларуская моладзь у розных малых мястэчках і па вёсках, у м. Крынках Насьця Кішкель самая першая праяўляла беларускасьць і рабіла тое, што магло быць яе — і ўсіх нас беларусаў — Бацькаўшчыне карысным. З прыходам палякоў Насьця Кішкель пападае за беларускасьць у турму, дзе яна і згубіла сваё здароўе — прычапілі сухоты. Хутка яе звальняюць. Адкрываюцца Беларускія Вучыцельскія Курсы ў Вільні і Насьця Кішкель з сваім слабым здароўем едзе туды, каб набраць больш энэргіі і працаваць для Бацькаўшчыны і быць сьветачам нашым маленькім братом і сёстрам. Школ адкрыць не дазволілі і яна пачынае працаваць у другім кірунку. Трэба прызнацца, што па яе загаду збіраецца Беларуская Моладзь у м. Крынках. Яна дабіваецца ад польскай улады дазваленьня на працу гэтага Гуртка. Па яе загаду ставіліся беларускія спектаклі і нават драмы, як „Апошняе спатканьне" і „Раскіданае гняздо". Непамерная праца і згрызоты у Гуртку, зусім аднялі яе здароўе і хвароба зусім зламала Насьцю Кішкель і яна павінна была легчы ў пасьцель. 15 траўня ставілі драму Янкі Купалы „Раскіданае гняздо" і калі прышлі да яе з весьцямі аб тым што добра гралі, Насьця Кішкель ляжала ў пасьцелі і сабраўшы ўсе свае сілы крыкнула „няхай жывуць беларускія артысты". 17 траўня акружана сябрамі гуртка Беларускае Моладзі, Насьця Кішкель аддала Богу душу.

„Беларускі Звон", н-р 8, 19.08.1921 г.

■ REGION

Białystok

● Mniejszym niż zwykle zainteresowaniem cieszyły się bale z 13 na 14 stycznia. Największą imprezą z okazji powitania nowego roku według starego stylu był bal w stołówce Politechniki Białostockiej, gdzie bawiło się ok. 300 osób.

● 20 stycznia na spotkaniu Regionalnych Towarzystw Kultury wybrane zostało pięcioosobowe Wojewódzkie Forum Towarzystw Regionalnych. W jego skład weszli przedstawiciele Towarzystwa Przyjaciół Białegostoku, Białostockiego Towarzystwa Naukowego, Towarzystwa Przyjaciół Grodna i Wilna i Białostockiego Towarzystwa Śpiewaczego im. St. Moniuszki. Głównym celem organizacji jest promocja dokonań ruchu regionalnego Białostocczyzny.

● Z końcem stycznia pełnomocnik wojewody białostockiego do spraw mniejszości narodowych i etnicznych przestał pełnić swoją funkcję. Oficjalnie nastąpiło to z powodu reorganizacji Urzędu Wojewódzkiego. Nieprzedłużenie zawartej na rok umowy o pracę ze Sławomirem Halickim było niemal pewne już od kilku miesięcy, po jego niefortunnych poczynaniach wyszukiwania nowych narodowości i ujawnieniu przygotowanego tajnego raportu. Pracę pełnomocnika szczególnie mocno krytykowało środowisko białoruskie.

● 31 stycznia do Sądu Wojewódzkiego wpłynął wniosek o rejestrację Stowarzyszenia Mniejszości Wschodniosłowiańskich. Inicjatorami nowej organizacji są działacze białostockich bractw cerkiewnych, Związku Ukraińców Podlasia, Rosyjskiego Towarzystwa Kulturalnego oraz środowiska skupionego wokół „Przeglądu Prawosławnego". Stowarzyszenie ma reprezentować „wszystkich, których korzenie sięgają starożytnej wiary greckiej". Głównym celem jego powołania jest stworzenie szerokiej platformy, która ma umożliwić skuteczny udział społeczności prawosławnej w najbliższych wyborach parlamentarnych i samorządowych.

● Cykl fakultatywnych zajęć w przedszkolach na Białostocczyźnie, na których dzieci poznawałyby tradycje regionu, zamierza zorganizować Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury. Program obejmowałby naukę pieśni, obrzędów związanych z dawnym cyklem prac polowych. Program byłby finansowany przez wydział kultury Urzędu Wojewódzkiego, Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz fundacje.

Bielsk Podlaski

● 24 stycznia w cerkwi pw. Zmartwychwstania Pańskiego odsłużono panichidę za dusze pomordowanych zimą 1946 r. mieszkańców białoruskich wsi na Białostocczyźnie. W styczniu i lutym 51 lat temu oddział Pogotowia Akcji Specjalnej Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, pod dowództwem kapitana Romualda Rajsa, ps. „Bury", spacyfikował białoruskie wsie: Zaleszany, Wólkę Wygonowską, Szpaki i Zanie. W ciągu pięciu dni zamordowano 80 osób tylko za to, że byli prawosławnymi Białorusinami. Wśród nich znalazło się 29 wozaków, których 31 stycznia rozstrzelano w lesie niedaleko wsi Puchały Stare. Od kilku lat rodziny zabitych bezskutecznie starają się o przeprowadzenie ekshumacji swoich bliskich na cmentarz wojskowy w Bielsku Podlaskim.

Narew

● W budynku Szkoły Podstawowej odbył się Centralny Przegląd Konkursu Recytatorskiego „Słowo ojczyste". Uczestniczyło w nim 58 finalistów, wyłonionych podczas przeglądów rejonowych w Bielsku Podlaskim i Hajnówce. Ogółem w konkursie uczestniczyło kilkuset uczniów niemal z wszystkich szkół podstawowych, w których wykładany jest język białoruski.



Jedna z finalistek konkursu recytatorskiego „Rodnaje słowa" w Narwi
Fot. J. Kalina

■ KRAJ

Warszawa

● 1 stycznia zostały zmienione lub ustalone 682 urzędowe nazwy miejscowości. Zmiany nie objęły spolszczonych nazw białoruskich wsi i miasteczek z naszego regionu, czego półtora roku temu domagał się Związek Białoruski w RP. Takiego postulatu nie poparli jednak sami mieszkańcy.

● 16 stycznia komisja konstytucyjna Zgromadzenia Narodowego uzgodniła projekt nowej ustawy zasadniczej. Znalazł się w nim zapis o prawach mniejszości narodowych: **Art. 33.1. Rzeczpospolita Polska zapewnia obywatelom polskim należącym do mniejszości narodowych i etnicznych wolność zachowania i rozwoju własnego języka, zachowania obyczajów i tradycji oraz rozwoju własnej kultury. 2. Mniejszości narodowe i etniczne mają prawo do tworzenia własnych instytucji edukacyjnych, kulturalnych i instytucji służących ochronie ich tożsamości kulturowej.** Projekt nowej konstytucji zostanie poddany głosowaniu w powszechnym referendum, które odbędzie się prawdopodobnie w maju br.

● 25 stycznia Redakcja Białoruska Programu 5 Polskiego Radia (dla zagranicy) obchodziła jubileusz 5-tej rocznicy powstania. Z tej okazji odbyła się konferencja „Media na Białorusi. Białoruś w mediach" z udziałem m.in. Jerzego Marka Nowakowskiego, dyrektora Programu 5 PR, Żany Litwiny, dyrektor Radia 101,2 w Mińsku, Ihara Hiermienczuka, redaktora naczelnego gazety „Swaboda" w Mińsku i Eugeniusza Mironowicza, redaktora naczelnego tygodnika „Niwa".

■ REPUBLIKA BIAŁORUŚ

Grodno

● W końcu stycznia odbyło się spotkanie przedstawicieli Społecznego Komitetu Budowy Muzeum Białoruskiego w Hajnówce i Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego z delegacją rządu Republiki Białoruś. Rozmowy dotyczyły dalszej pomocy państwa białoruskiego dla hajnowskiej placówki. Ze względu na częściowe upaństwowienie muzeum Ministerstwo Kultury RB odmówiło dalszego wsparcia materialnego, jednocześnie deklarując daleko idącą współpracę w organizowaniu ekspozycji, aranżacji wnętrz i wypożyczaniu zbiorów.

Grodno-Mińsk-Połock-Witebsk

● W tych miastach odbyły się koncerty Danczyka, znanego również u nas amerykańskiego Białorusina, wykonawcy nastrojowych piosenek białoruskich. Bogdan Andrusyszyn, bo tak brzmi prawdziwe nazwisko artysty, przyjechał do Białorusi z Pragi, gdzie pracuje w sekcji białoruskiej Radia Swaboda.

Homel

● 18 stycznia odbyło się białorusko-ukraińskie spotkanie na szczycie. Prezydenci Aleksander Łukaszenka i Leonid Kuczma podpisali kilka porozumień gospodarczych i celnych.

Kozłowicze – Kukuryki

● Pobicie i strzały do polskiego kierowcy na przejściu granicznym Kozłowicze-Kukuryki stały się powodem ostrych protestów dyplomatycznych. Zdaniem poszkodowanego, białoruska milicja użyła wobec niego siły, gdy nie zgodził się, by „pod pozorem pobrania krwi wstrzyknęli mu nieznaną substancję". Według milicji z Brześcia, polski kierowca był pijany i zaatakował jednego z białoruskich funkcjonariuszy.

Mińsk

● W 1997 rok Białoruś weszła z nie rozwiązanymi problemami energetycznymi. Jaskrawym przejawem kryzysu stały się wielogodzinne kolejki na stacjach benzynowych oraz perspektywa przerw w dostawach ciepła do osiedli mieszkaniowych. Tylko dzięki intensywnym negocjacjom rządu z kierownictwem „Gazpromu" udało się uniknąć reglamentacji gazu dla ludności i przemysłu.

● 4 stycznia były przewodniczący parlamentu Stanisław Szuszkiewicz został zatrzymany na mińskim lotnisku, gdy udawał się do Polski, na zaproszenie senatu Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie miał wygłosić odczyt. Jego paszport pogranicznicy uznali za nieważny, zgodnie z odgórnym zaleceniem cofnięcia uprawnień tym deputowanym, którzy nie uznali wyników listopadowego referendum. W grudniu z tych samych powodów wjazd do Polski uniemożliwiono Siamionowi Szareckiemu, przewodniczącemu zdelegalizowanej Rady Najwyższej.

● Obwodowe rady ds. religii nie wydały sześciu księżom katolickim z Polski zgody na pracę w białoruskich parafiach. W Białorusi przebywa obecnie, przeważnie nielegalnie, około stu polskich księży. Białoruskie władze zapowiedziały ich wydalenie.

● W połowie stycznia zainaugurowała pracę izba wyższa Zgromadzenia Narodowego, składająca się z członków mianowanych przez prezydenta. Aleksander Łukaszenka w dniu rozpoczęcia sesji senatorów wydał blisko 20 dekretów w sprawach zmian kadrowych. Odwołani zostali niemal wszyscy dotychczasowi ministrowie. Ich miejsce zajęły przeważnie osoby z dawnego komunistycznego aparatu partyjnego.

● Łukaszenka zdymisjonował także przewodniczącą banku centralnego, Tamarę Winnikową, której postawiono zarzut malwersacji finansowych i osadzono w areszcie.

● 19 stycznia obradował zjazd Białoruskiej Partii Komunistów. 15 tysięcy jej członków nie pogodziło się z przewrotem politycznym, który, ich zdaniem, dokonał się w republice po jesiennym referendum. Delegaci uzgodnili, że z nadejściem wiosny podejmą odpowiednie kroki w celu przywrócenia konstytucyjnego porządku w państwie. W listopadzie ub.r. w Komunistycznej Partii Białorusi nastąpił rozłam — 700 osób opuściło jej szeregi i utworzyło Partię Białoruskich Komunistów, posłuszną Aleksandrowi Łukaszence. Pozostali zmienili nazwę

Regionalia

Prosięta od udałej maciory

Kiedy już Rzym zawojował większość starożytnego świata, kolejni imperatorzy mieli nie lada kłopot z lojalnością części prowincji. Gdy doszło już do tego, że brakło legionistów do uśmierzania buntów w kolejnym barbarzyńskim kraju, pewien łysy patrycjusz wpadł na pomysł, jak temu zaradzić.

Myśl była genialna i jakby nie patrzeć, ponadczasowa, bo opierająca się na ludzkiej mentalności, jak wiadomo — niezmiennej od czasów Kaina i Abla. Ów Rzymianin, nieznany niestety historii antycznej z imienia i nazwiska, zaproponował, by w razie potrzeby w buntującym się kraju wynajdywać plemiona albo grupy społeczne o przeciwstawnych interesach i... napuszczać je na siebie. W ten sposób, stosunkowo tanim kosztem i — co równie ważne — bez bezpośredniego angażowania się w konflikt w jego początkowej fazie, Imperium wygrywało swoje interesy. Gdy już zadziorni autochtoni wykrwawili się do półśmierci, z Wiecznego Miasta przysyłano kohorty legionistów, którzy zaprowadzali porządek.

Metoda była na tyle genialna, że nikt ze starożytnych nie zaprzątał sobie głowy, by ją w jakikolwiek sposób zdefiniować, czy choćby nazwać. Dopiero w dobie Renesansu nadano jej nazwę ***divide et impera*** *(pol.: dziel i rządź). „Słownik Kultury Antycznej" określa ją jako „sianie niezgody w celu łatwiejszego rządzenia innymi".*

O tym, że taki sposób uprawiania polityki, i to zarówno zagranicznej, jak i wewnętrznej, nie zestarzał się do naszych czasów, przekonała mnie lektura wywiadu reprezentującego w Sejmie RP Związek Ukraińców w Polsce posła Unii Wolności Mirosława Czecha. Na łamach swego partyjnego organu oświadczył on bowiem, że celem osłabienia odradzającego się kilkanaście lat temu zorganizowanego życia ukraińskiego w Polsce Służba Bezpieczeństwa... wymyśliła Łemków. Innych przykładów kreowania sztucznych bytów narodowych, np. z naszego terenu, ukraiński poseł Czech nie przytoczył. Być może ich nie zna. A może dlatego, że trochę mu było głupio o tym mówić. Nie ma też się co łudzić, że parę z gęby puści ktoś inny. Zapamiętałe dyskusje nad kształ-

na Białoruską Partię Komunistów.

● 25 stycznia ok. 5 tys. osób przeszło ulicami Mińska w marszu solidarności z ostatnimi demonstracjami w Serbii i Bułgarii oraz w proteście przeciwko planom zjednoczenia Rosji i Białorusi.

● Dwa dni strajkowali kupcy z bazaru Kamarouski Rynak, sprzeciwiając się jego upaństwowieniu. Zgodnie z dekretem prezydenta, tamtejszym prywatnym handlowcom postawiono ultimatum — albo będą pracować jako sprzedawcy, zarabiając 40-50 dolarów miesięcznie, albo od 1 lutego muszą opuścić rynek. Strajk polegał na tym, że zamiast towarów, na ladach wyłożono listy z petycją. Zdaniem protestujących, przekształcenia „Kamarouki" są przejawem łamania zasad demokracji, która gwarantuje swobodę także w dziedzinie przedsiębiorczości.

● Trwają intensywne prace przy budowie dwóch równoległych nitek, liczącego 575 km białoruskiego odcinka gazociągu Jamał-Europa Zachodnia. W ciągu doby dokonuje się spawów 50 łączy o średnicy 140 cm (900 metrów rur). Niemiecka firma „Manesman" dostarczyła już 140 km rur.

● Nakładem wydawnictwa „Junactwa" ukazała się książka naszego współpracownika, Mikołaja Hajduka, pt. „Biełowieżskija bylicy i niebylicy". Jest to zbiór legend i podań zebranych przez autora wśród Białorusinów zamieszkujących wsie i miasteczka Puszczy Białowieskiej oraz na brzegach Dniepru i Niemna. Większość utworów była już publikowana po polsku kilkanaście lat temu w książce „O czym szumi Puszcza Białowieska", która rozeszła się w nakładzie 40 tys. egzemplarzy. Białoruskie wydanie liczy 6 tys. egz. Książka, wydrukowana na bardzo wysokim poziomie technicznym, jest do nabycia w naszej redakcji. Kosztuje tylko 5 zł i można ją kupić również za zaliczeniem pocztowym.

● W kinie „Kastrycznik" odbył się premierowy pokaz nominowanego do Oscara filmu produkcji niemiecko-białoruskiej pt. „Z piekła w piekło". Obraz, przedstawiający pogrom kieleckich Żydów w 1946 r., wywołał burzę krytyki wśród działaczy Związku Polaków na Białorusi. Ich zdaniem „film przedstawia Polaków jako zbrodniarzy okrutniejszych od oprawców hitlerowskich".

● W Państwowym Muzeum Białoruskim Wielkiej Wojny Ojczyźnianej trwa prezentacja wystawy „Propaganda niemiecka w Białorusi 1941-1944. Konfrontacja propagandy z rzeczywistością". Hitlerowskie plakaty, gazety i dokumenty po raz pierwszy pokazano wiosną ub.r. w Berlinie.

■ ŚWIAT

Belgia

● Sekretarz generalny NATO Javier Solana przesłał do Aleksandra Łukaszenki list z odmową poparcia białoruskiej inicjatywy utworzenia w Europie Środkowej i Wschodniej strefy bezatomowej. Jednocześnie uspokoił, że „kraje NATO nie mają zamiaru, planu, ani powodu, by instalować broń jądrową na terytorium nowych członków".

Francja

● Ministrowie spraw zagranicznych krajów Unii Europejskiej oddelegowali na Białoruś misję badawczą, która ma sprawdzić, czy w republice przestrzegane jest prawo. 24 lutego ma być gotowy raport o prześladowaniach białoruskiej opozycji i mediów.

Rosja

● 13 stycznia Borys Jelcyn przesłał Aleksandrowi Łukaszence list z propozycją przeprowadzenia na terenie Rosji i Białorusi referendum w sprawie zjednoczenia obu państw. Noworoczny (według starego stylu) prezent w Mińsku został przyjęty bez specjalnego entuzjazmu, mimo że Łukaszenka już trzykrotnie prosił Moskwę o zjednoczenie obu krajów. Większość dotychczas zawartych białorusko-rosyjskich porozumień integracyjnych nie weszła w życie. Zjednoczenie ma oznaczać wspólne ustawodawstwo, politykę gospodarczą, budżet, walutę, system podatkowy i jeden rząd. W praktyce oznacza to, że nastąpi wchłonięcie Białorusi przez Rosję. Na przeszkodzie tych planów stoją olbrzymie koszty integracji obu gospodarek, co może doprowadzić Rosję do ruiny.

tem przyszłej(?) ustawy lustracyjnej, czy choćby emocjonalna reakcja przedstawicieli władzy na jeden z moich poprzednich felietonów, pt. „Inwigilowani", świadczą o niezwykłej „delikatności" materii.

Podobnej metody chwycił się człowiek, któremu Pan Wojewoda Białostocki udzielił swoich pełnomocnictw w kontaktach z osobami przynależącymi do mniejszości narodowych. Zdaniem jednych, z chęci uzasadnienia swojej obecności na urzędzie, innych — z braku rozeznania, a nawet kompletnej ignorancji, jeszcze zaś innych — z jakichś innych pobudek, urzędnik ów niemal od początku pełnienia swojej niezbyt długiej misji zaczął płodzić mniejszości, jak, nieprzymierzając, udała maciora prosięta. W tym całym zapamiętaniu twórczym zapomniał był nawet, w jakim celu tak naprawdę został powołany.

I wreszcie przykład z ostatniej chwili.

Powstawaniem białostockiej telewizji emocjonują się wszyscy. Również regionalni Białorusini. Ci ostatni na początku jakby nawet trochę mniej, ponieważ ich tutaj obecność była jednym z argumentów za lokalizacją ośrodka w grodzie nad Białką. Wszystko jednak do czasu, gdy sprawa oparła się o czwarte szeregi.

Przy tworzeniu tzw. ramówki okazało się, że ustawowo i międzynarodowo zagwarantowana obecność języka białoruskiego w tym publicznym medium, w Białymstoku wcale nie jest taka oczywista. Przynajmniej — nie w przypadku jego dyrekcji.

Sprawa byłaby bardzo prosta — mówi dyrekcja — gdyby nie drobne „ale". Żyją wśród nas bowiem inni: Litwini, Ukraińcy, Tatarzy, Rosjanie, Ormianie, Niemcy, Żydzi, a nawet Karaimi. Wkrótce zaś, ponieważ prężnym krokiem zmierzamy w kierunku Europy (sic!), coraz więcej będzie Niemców i innych Anglosaksonów. I co, drodzy Białorusini, damy audycje wam — musimy dać również innym. Więc może dajmy sobie spokój, bo czasu na antenie nie starczy Polakom. A o was, bez was, będziemy informować przeważnie po polsku.

W każdym szaleństwie jest metoda.

Zaborczość i cynizm Rzymian doprowadził do upadku całej cywilizacji antycznej.

Eks-pełnomocnik ds. mniejszości narodowych powiedziałby zapewne, że w jego przypadku był to doskonały sposób na pozbycie się intratnej posady.

Jerzy Kalina

■ Z ŻYCIA CERKWI

Białystok

● Po raz siódmy w Białostockim Areszcie Śledczym odbyła się prawosławna wigilia. W uroczystościach religijnych oraz łamaniu się prosforą wzięli udział arcybiskup Sawa, konsul generalny Republiki Białoruś w Białymstoku Michaił Slamniou, kapelan więziennictwa o. Włodzimierz Cybuliński oraz 16 osadzonych z Polski, Białorusi, Armenii i Rosji.

● 12 i 15 stycznia już po raz piętnasty odbyły się w Filharmonii Białostockiej doroczne koncerty prawosławnych kolęd, organizowane przez Diecezję Białostocko-Gdańską. Wzięły w nich udział 24 chóry parafialne, młodzieżowe i dziecięce. Koncert sponsorowała Fundacja Kultury Prawosławnej, założona przez biznesmena z Warszawy, Bazylego Piwnika. Koncerty kolęd w filharmonii na stałe weszły do kalendarza imprez kulturalnych miasta i cieszą się niesłabnącym powodzeniem. Prawosławnych kolęd w wykonaniu Młodzieżowego Chóru Diecezji Białostocko-Gdańskiej pod dyrekcją o. Bazylego Dubeca można było także posłuchać w czasie wielkiego koncertu kolęd (głównie polskich), który zorganizowało Radio Białystok w hali „Włókniarza".

● W świetlicy parafii Św. Ducha Prawosławny Ośrodek Miłosierdzia i Caritas Archidiecezji Białostockiej zorganizowały choinkę dla dzieci Ormian przebywających w Białymstoku. Mimo że większość z nich nie ma pozwolenia na stały pobyt i pracę, w Białymstoku mieszka ich kilkuset i coraz więcej chce się osiedlić w mieście na stałe. W świątecznej zabawie uczestniczyło około pięćdziesięciorga dzieci. Do niedawna jednym z głównych problemów Ormian było to, że ich dzieci nie mogły bezpłatnie uczęszczać do szkół publicznych. Dzięki pomocy organizacji charytatywnych, siedmioro takich dzieci rozpoczęło naukę w białostockich szkołach podstawowych.

● W ramach kontaktów z prawosławną diecezją Volos w Grecji, na zaproszenie Rady Młodzieży Diecezji Białostocko-Gdańskiej, w dn. 17-23 stycznia przebywała na Białostocczyźnie grupa greckiej młodzieży wraz z duchownymi. Goście zapoznali się z tradycją prawosławną na naszych ziemiach — w szczególności z obrzędami Święta Jordanu — byli w Białowieży, na Św. Górze Grabarce, w Szkole Ikonograficznej w Bielsku Podlaskim, Drohiczynie, Supraślu i Białymstoku. Podczas najbliższych wakacji z rewizytą uda się do Grecji grupa młodzieży białostockiej.

● 20 stycznia abp Sawa podpisał dekret o powołaniu Duchownego Soboru Ławry Supraskiej, na czele którego stanął archimandryta Miron. Sobór ma rozpatrywać wszystkie sprawy dotyczące życia duchowego, działalności administracyjnej i gospodarczej Ławry Supraskiej.

● Równocześnie zostały wydane inne dekrety abp. Sawy dotyczące supraskiego monasteru: o powołaniu do życia Monasterskiej Oficyny Wydawniczej oraz organizacji Cerkiewnego Domu Opieki przy Męskim Klasztorze p.w. Zaśnięcia Najświętszej Bogurodzicy, która powierzona została Prawosławnemu Ośrodkowi Miłosierdzia Diecezji Białostocko-Gdańskiej.

● 26 stycznia Bractwo Cerkiewne św. Mikołaja zorganizowało drugą aukcję monasterską, z której dochód i część ofiarowanych eksponatów przeznaczone zostały na rzecz odbudowy monasteru męskiego Zwiastowania NMP w Supraślu.

● Bractwo św. Mikołaja przeprowadziło również konkurs gwiazd kolędniczych. Oceniono siedem gwiazd. Nagrody przyznano Sergiuszowi Kunie z Mikłasz koło Orli, Janowi Mordaniowi z Ryboł, Jakubowi Bogacewiczowi z Krywiatycz, Damianowi Łukaszukowi z Ryboł, Tomaszowi Jemieliańczukowi z Białegostoku i parafii św. Jana Teologa w Augustowie koło Bielska.

● Wzorem lat ubiegłych 26 stycznia Diecezjalna Rada Młodzieży Diecezji Bia-

Dajcie poświętować

W województwie białostockim, gdzie około jedna trzecia to wyznawcy prawosławia, w czasie świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy wszystkie urzędy i zakłady pracują normalnie, w szkołach trwa nauka. Czasami odbywają się zebrania czy narady, na których być powinniśmy, często w tych dniach nie sprawdza się powiedzenie, że nie ma ludzi niezastąpionych. Pracujemy na różnych stanowiskach i w różnych zawodach. Ponieważ formalnie święta prawosławne są dniem roboczym, trudno dziwić się dyrektorom, że nie tolerują pracy na pół gwizdka. Trudno mieć pretensję do sąsiada, który włączy wiertarkę wtedy, gdy inni siedzą przy stole wigilijnym. Dla niego to przecież zwykły dzień pracy.

W rodzinach mieszanych, a takich jest znaczny procent w naszym regionie, też pojawia się problem, czy współmałżonek powinien zostać w domu i świętować z najbliższymi, czy może sobie na to pozwolić dopiero po pracy.

Dzieci w tych dniach mogą nie iść do szkół. Jest to w pewnym stopniu przywilej. Ale czy na pewno? Nauczyciele realizują przecież kolejne partie materiału, są klasówki. Czy następnego dnia dzieci wyznania prawosławnego mogą przyjść do szkoły z nie odrobionymi lekcjami. Czy każde dziecko będzie miało odwagę zgłosić nauczycielowi swoje nieprzygotowanie? A ilu nauczycieli to zrozumie? Bywa często tak, że dziecko prawosławne pozostaje w czasie świąt w domu, idzie do cerkwi, a następnie oczekuje powrotu kolegów ze szkoły, odwiedza ich, pożycza zeszyty i zaczyna odrabiać lekcje. Czy można to zrobić w sytuacji, gdy przy stole siedzą znajomi lub sami idziemy na spotkanie do rodziny? Łatwo więc wytłumaczyć fakt, dlaczego około 50 proc. dzieci wyznania prawosławnego woli pójść z rana do szkoły, następnie odrobić lekcje, i dopiero zacząć świętować.

Przy takiej liczbie wyznawców prawosławia, jaką mamy w naszym regionie, rozsądne byłoby wprowadzenie trzech dni wolnych od pracy w czasie świąt prawosławnych (Bożego Narodzenia i Wielkanocy), zamiast np. wolnych sobót. Tym bardziej, że w myśl nowych zasad takie dni mogą być ustalane w bardziej dowolny sposób. Zdarza się bowiem, że wprowadza się dni wolne od pracy czy zajęć w szkołach zupełnie przypadkowo, np. w minionym roku 2 maja i 27 grudnia. A czy 1 maja nie można uczcić pracą?

W szkołach zdarzają się różne dni wolne od nauki: dzień wagarowicza, patrona szkoły, sportowca. Tym bardziej uzasadnione byłyby dni wolne w czasie świąt prawosławnych. Wystarczy dobra wola.

Apeluję więc do Pana Wojewody Białostockiego, Prezydenta Miasta Białegostoku i innych osób mających na to wpływ, o rozważenie powyższej propozycji. (...) Myślę, a wręcz jestem przekonany, że przyczyni się to do lepszego zrozumienia prawosławnych i katolików. Żyjemy obok siebie, razem pracujemy, bawimy się. Zacznijmy pomagać sobie świętować.

Fragmenty listu czytelnika „Kuriera Porannego".

A co Państwo na to? Czekamy na listy z opiniami.

łostocko-Gdańskiej zorganizowała zabawę choinkową dla ponad setki dzieci.

● Po raz ósmy „Przegląd Prawosławny" przyznał nagrody (honorowe) im. Księcia Konstantego Ostrogskiego. Wyróżniono: Mikołaja Hajduka, publicystę i literata (stale współpracującego z „Czasopisem"), Piotra Trochanowskiego (Pedro Muriankę) — poetę opisującego Łemkowszczyznę, Andrzeja Turczyńskiego, poetę i prozaika oraz Dymitrija Pospiełowskiego, historyka i eseistę, profesora Uniwersytetu Onatario w Kanadzie, autora prac poświęconych historii prawosławia w Ameryce i dziejom Cerkwi na terytorium b. ZSRR.

Hajnówka

● W różnych miejscowościach na Białostocczyźnie organizowano przeglądy kolędnicze. Jeden z większych odbył się w Hajnowskim Domu Kultury. Wzięło w nim udział 20 zespołów, wykonujących kolędy prawosławne i katolickie.

Mińsk

● 7 stycznia prezydent Aleksander Łukaszenka i jego współpracownicy uczestniczyli w uroczystym bożonarodzeniowym nabożeństwie wieczornym w soborze Świętego Ducha. Prezydent w swoim wystąpieniu, wygłoszonym w cerkwi, podziękował metropolicie Filaretowi i całemu duchowieństwu „za kolosalną pomoc i poparcie, okazane niedawno władzom świeckim w najcięższym momencie naszej historii". Natomiast metropolita Filaret podczas spotkania, które odbyło się po nabożeństwie, stwierdził, że „prezydent już nie raz zaświadczył o swojej przychylności dla odrodzenia duchowego".

■ **ROZMOWY**

Pomagać bliźnim



Rozmowa z Markiem Masalskim, dyrektorem Prawosławnego Ośrodka Miłosierdzia „Eleos" Diecezji Białostocko-Gdańskiej

— *Dotychczas pomoc niesiona przez Cerkiew prawosławną w Polsce ludziom potrzebującym nie była zinstytucjonalizowana. Ponad pół roku temu została jednak ujęta w ramy organizacyjne.*

— Miłosierdzie było i jest bliskie Cerkwi. Służyła temu działalność Bractwa Młodzieży Prawosławnej, bractw cerkiewnych, parafii. Wielokrotnie organizowano wśród wiernych zbiórki pieniędzy, np. na kosztowne operacje medyczne, niesiono pomoc materialną mieszkańcom Serbii, Białorusi, Litwy. Bractwo młodzieżowe udzielało szczególnej pomocy najmłodszym, poprzez dofinansowywanie obozów, opiekę nad dziećmi przebywającymi w domach dziecka.

Jeśli jednak chodzi o pomoc zinstytucjonalizowaną, ujętą w ramy organizacyjne, to nie tylko w naszej diecezji białostocko-gdańskiej taki ośrodek jest nową formą. W innych diecezjach również nie zapomina się o systemowym wspieraniu potrzebujących, istnieją domy opieki w Stanisławowie, Cieplicach oraz organizowane są w Lublinie, Kożynie, ale nasz ośrodek jest pierwszym tego rodzaju. Mam nadzieję, że jego forma sprawdzi się i rozwinie on w przyszłości swoją działalność.

— *W jaki sposób docieracie ze swoją pomocą do ludzi, którzy jej rzeczywiście potrzebują?*

— Sam ośrodek powstał z błogosławieństwa arcybiskupa Sawy i jest coraz bardziej znany. Część zainteresowanych już wie o naszym istnieniu, staramy się rozpowszechniać informacje o tym, co robimy, wśród duchowieństwa, w prasie, radiu i telewizji. Również sami odszukujemy biednych i bezdomnych. Wydajemy np. bezpłatne posiłki dla ponad stu osób. Przychodzimy z pomocą uchodźcom, którzy przebywają w Białymstoku. Zorganizowaliśmy ostatnio zabawę choinkową dzieciom ormiańskim oraz ułatwiliśmy im rozpoczęcie bezpłatnej nauki w kilku białostockich szkołach. Stałą opieką otaczamy mieszkańców domów dziecka, obecnie przygotowujemy dla nich zimowisko w Drohiczynie. W okresie przedświątecznym rozdawaliśmy potrzebującym talony na zakup żywności. Wspólnie z Bractwem św. Mikołaja zbieramy i rozdajemy używaną odzież.

— *Pomoc, którą niesiecie, ogranicza się przede wszystkim do mieszkańców Białegostoku. Czy macie plany rozszerzenia swojej działalności?*

— Moim marzeniem jest zorganizowanie domów opieki na terenie wyludnionych wsi białostockich, ośrodków pomocy dziennej w budynkach byłych szkół. Do zrealizowania tego konieczne jednak jest współdziałanie wielu ludzi z dużym zapałem i energią oraz poważne nakłady finansowe. Myślę, że z czasem uda się urzeczywistnić i te plany. Pierwszym symptomem rozszerzania naszej działalności jest decyzja abp. Sawy o utworzeniu Cerkiewnego Domu Pomocy w Supraślu.

— *W jaki sposób pozyskujecie fundusze?*

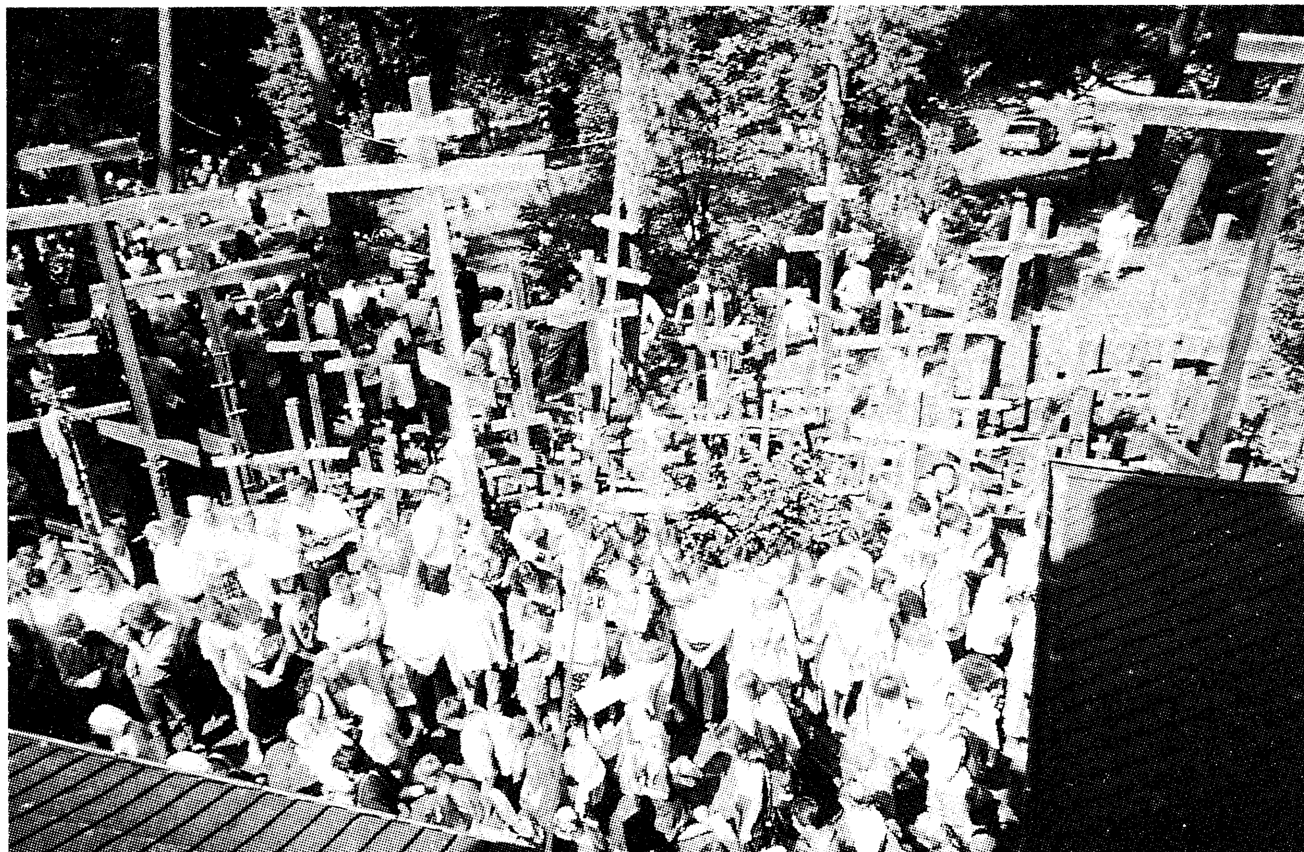
— To był początkowo duży problem. Zaczynaliśmy w czerwcu ubiegłego roku nie posiadając podstaw finansowych, jednak w miarę rozwijania działalności przybywało środków. Jak się okazuje, wiele osób prywatnych i instytucji zainteresowanych jest udzielaniem pomocy, szczególnie kiedy widać jej efekty. Finansowanie naszego ośrodka jest wielopoziomowe, poczynając od wpłat dokonywanych przez wiernych, poprzez firmy, które w różnorodny sposób dotują naszą działalność, oraz instytucje i urzędy. Liczymy także na pomoc fundacji. Staramy się również pozyskać pieniądze w ramach własnej działalności. Dotychczas zorganizowaliśmy jeden koncert dobroczynny, zamierzamy kontynuować tę inicjatywę. Planujemy w przyszłości rozpocząć działalność gospodarczą.

— *Dziękuję za rozmowę i życzę, aby wasza działalność pogłębiła wrażliwość na los tych, którzy oczekują wsparcia.*

Rozmawiał **Wiesław Choruży**

Jerzy Sulżyk

Żywa Cerkiew



Święta Góra Grabarka — symbol prawosławia w Polsce Fot. J. Kalina

Istnieje utarte przekonanie, iż o sprawach dotyczących życia Cerkwi prawosławnej winno się dyskutować w zamkniętym gronie duchowieństwa, teologów, bractw. Jest to bardzo mylące przekonanie. Bezsprzeczny fakt, iż Cerkiew musi mówić jednym głosem nie oznacza, iż jej członkowie nie powinni wypowiadać się w ważnych dla nich sprawach. Taka dyskusja jest nie tylko wskazana, ale wręcz niezbędna. Do życia.

W jednym z grudniowych numerów „Tygodnika Powszechnego" ukazał się artykuł pt. „Na tropie Antychrysta". Jego autor, Grzegorz Przebinda, nadając taki tytuł publikacji, uczynił w ten sposób zamierzoną paralelę pomiędzy wydaną pod koniec zeszłego stulecia „Opowieścią o Antychryście" Włodzimierza Sołowiowa, a obecną sytuacją rosyjskiego prawosławia. Sołowiow stworzył sugestywną fikcję, opisał zorganizowany przez Antychrysta „sobór powszechny", który w zamyśle „Złego" miał doprowadzić do fałszywej jedności chrześcijan. Chciał to osiągnąć poprzez ofiarowanie każdemu z trzech wielkich Kościołów chrześcijańskich (katolickiemu, protestanckiemu i prawosławnemu) tego, co każdy z nich uważa za „istotę" swego wyznania. I tak *katolicy otrzymali obietnicę oparcia swego mocarstwa na autorytecie ich duchowego przywódcy, który znów miał w Rzymie odzyskać swój tron. Protestantom zapewniono nieograniczoną możliwość swobodnego badania Pisma. A prawosławni czym dali się skusić?* Okazało się, iż, jak mówi Antychryst, dla prawosławnych najważniejsze są: święta tradycja, stare symbole, stare pieśni i modlitwy, ikony i rytuał Mszy Świętej. I dla nich właśnie otworzył Antychryst „muzeum archeologii chrześcijańskiej" w Konstantynopolu.

To niewątpliwe przerysowanie przez Sołowiowa niejako „charakteru" rosyjskiego prawosławia posłużyło autorowi „TP" do przybliżenia klimatu dyskusji, jaka prowadzona jest wśród prawosławnych hierarchów i teologów w Rosji. Wynika z niej, iż istnieje wyraźny konflikt pomiędzy zachowawczym „święto-ruskim" środowiskiem i grupą umownie zwaną postępową. I to ci pierwsi, co nie było może intencją autora, mimowolnie kojarzą się ze wspomnianym „muzeum archeologii". Szczegóły konfliktu, jeśli w ogóle można użyć tu tego słowa, są niezmiernie interesujące i nie mniej zagmatwane, co bogato zilustrowano historycznymi i teologicznymi cytatami. Co jednak istotniejsze, można odczytać z tego pewne pouczające stwierdzenia odnoszące się do problemów prawosławia w Polsce.

Muzeum, czy „żywa moc"?

Na początek, komentarza wymaga pojawiające się hasło-klucz — „muzeum archeologii chrześcijańskiej". Wynika z niego, iż samo prawosławie, bazując na rzekomo przestarzałych, rzekłbym — zacofanych formach pielęgnowania wiary, popada w anachronizm i nie nadąża za zmieniającym się w oszałamiającym tempie światem. Ze swoimi „eksponatami", by używać już terminologii muzealniczej, z tymi, jak napisał sto lat temu Sołowiow, ikonami, starymi pieśniami, tradycjami etc., wypada z codziennego, normalnego życia. Po prostu do niego nie pasuje. Nic bardziej chyba niż muzeum nie kojarzy nam się z zastygłym czasem, z zakrzepłą tkanką przeszłości, która jedynie „od święta" ożywa na krótko z racji interesowania się historią przez poszukujących swoich korzeni. A tych, trzeba przyznać, jest stosunkowo niewielu. Bo muzeum to świątynia przeszłości.

„Teoria muzeum" pozostaje w jawnej sprzeczności z tym, co głosi Cerkiew. Aby się o tym przekonać, wystarczy sięgnąć choćby do znanej, wydanej w 1992 roku w Polsce, książki Sergiusza Bułgakowa pt. „Prawosławie". Szczególnie



Pierwsza spowiedź w cerkwi — dryfowanie w stronę Kościoła rzymskokatolickiego Fot. J. Osiennik

jasno zostało to wyrażone w wykładzie dotyczącym Świętej Tradycji. Pozwolę sobie zacytować fragment: *Tradycja jest **żywą** pamięcią Kościoła, która zawiera prawdziwą naukę, tak jak ona objawia się w historii Kościoła. To nie jest **muzeum archeologiczne** lub katalog naukowy, i nie jest to **martwy** „depozyt" wiary; jest to **żywa** moc, właściwa **żywemu** organizmowi. W potoku swego **życia** niesie całą swoją przeszłość, we wszystkich jej przejawach i we wszystkich czasach* (podkreślenia — A.S.)

To, iż Cerkiew głosi takie zasady, nie oznacza wszakże, iż jej wierni o tym wiedzą (!). I w tym paradoksie tkwi podstawowy problem: nie w tym, co mówi Cerkiew, tylko w tym, czy wierni to odbierają. Życie zdaje się potwierdzać tę dziwną sytuację. Wierni, konfrontując skostniały według nich organizm Cerkwi prawosławnej z szybko zmieniającym się i przystosowującym do nowych czasów Kościołem rzymskokatolickim, dryfują w kierunku tego drugiego. Przynajmniej w sensie kulturowym. Przykładem tego jest choćby pojawienie się w niektórych parafiach prawosławnych Białostocczyzny czegoś na kształt katolickiej pierwszej komunii, czyli tzw. uroczysta pierwsza spowiedź (pisano o tym w „Czasopisie"). Ludziom to się podoba, a niektórzy nawet mieli ponoć powiedzieć: „A co, my prawosławni mamy być jakimiś dziwakami, zawsze inni. Gorsi". Zacofani, chciałoby się dodać. W całej tej sytuacji tkwi dość niepokojące nieporozumienie: zamiast uwspółcześniać — tu: ożywiać — swoje własne treści (zawarte w prawosławnej tradycji), ludzie chwytają się łatwo dostępnych i atrakcyjnych, choć nie swoich, form, w tym wypadku zawartych w tradycji katolickiej.

Język

Ważnym elementem tego zagadnienia, kto wie, czy nie kluczowym, jest sprawa języka w Cerkwi prawosławnej, a ściślej mówiąc, języka liturgii, w tym czytanej Ewangelii. Nie jest to rzecz nowa. Wielokrotnie poruszana była zarówno w druku (np. na łamach „Przeglądu Prawosławnego"), jak i w bezpośrednim kontakcie z hierarchami Cerkwi prawosławnej w Polsce (np. na św. Górze Grabarce, w czasie tzw. „100 pytań do...", kiedy to obecna tam młodzież kieruje rozmaite zapytania do prawosławnych hierarchów). Z tych prób odniesienia się do spraw języka wyłania się dość jednolity obraz, który wskazuje raczej, iż dominujący w Cerkwi w Polsce język staro-cerkiewno-słowiański pozostaje na razie nie zagrożony. Zasadniczym i koronnym argumentem przemawiającym za tym jest to, iż dokonane w średniowieczu przez świętych braci Cyryla i Metodego przekłady z greki i samo stworzenie alfabetu scs są bardzo trudne do odwzorowania we współczesnych językach narodowych. Każde tłumaczenie niesie ze sobą możliwość pomyłki, tak więc bezpieczniej jest korzystać ze sprawdzonych, choć językowo anachronicznych, przekładów. Autor artykułu w „TP" daje w tym kontekście ciekawy komentarz. Pisze: *Ci, którzy pod koniec XX wieku chcą za wszelką cenę dochować w liturgii wierności językowi Braci Sołuńskich, działają może w zgodzie z literą tradycji, ale pozostają w całkowitej sprzeczności z duchem misji Apostołów Słowian, którzy przed ponad tysiącem lat po to tworzyli alfabet języka staro-cerkiewno-słowiańskiego, po to tłumaczyli księgi liturgiczne z greki na język Słowian, aby uczęszczający do kościoła rozumieli, o czym mowa.* Takie ujęcie problemu języka Cerkwi wydaje się być dość trafne. Niezaprzeczalnym jest chyba to, iż święci Cyryl i Metody w swoich czasach uwspółcześnili **niezrozumiałą** — podkreślam to słowo — dla ówczesnych Słowian grekę, na bardziej zrozumiały język scs. Zrobili w tym sensie pewien krok naprzód, tak jak wcześniej uczyniono to w świecie łacińskim. Było to tyleż samo naturalne, co po prostu konieczne, bo właśnie dzięki temu Słowo Boże mogło dotrzeć do naszych przodków. Tak samo, jak naturalnym było to (by cofnąć się do źródeł), iż teksty Ewangelii zostały napisane (zredagowane) w języku greckim (Chrystus rozmawiał po aramejsku), bo przecież tym językiem posługiwał się cały zhellenizowany wschód Cesarstwa Rzymskiego. Dzisiaj, gdy poszczególne języki narodowe wykształciły się tak dobrze, a każdy z nich posiada adekwatne do tego stopnia rozwoju pismo, naturalną konsekwencją stanie się zapisanie w tychże językach świętych tekstów prawosławia.

Bo chyba jest tak, iż słowo słyszymy wtedy, gdy je rozumiemy, a nie rozumiejąc słowa, jakbyśmy go wcale nie słyszeli. *„... wiara rodzi się z tego, co się słyszy, tym zaś, co się słyszy jest słowo Chrystusa"* (Rz 10,17, cyt. za S. Bułgakowem, *Prawosławie*, s. 22). A cóż znaczą dla nas słowa, których nie rozumiemy? Czy je słyszymy? Czy bywa więc tak, że niektórzy z nas stoją w świątyni głusi? Słyszymy jedynie dźwięki i żeby je zrozumieć, musimy dodatkowo przeczytać książki tłumaczące i wyjaśniające te w gruncie rzeczy tak proste i piękne słowa. Zadaję więc sobie pytanie: dlaczego mam szukać tych dodatkowych tekstów, sięgać do przekładów Ewangelii czy Listów Apostolskich, jeśli mógłbym po prostu modląc się w cerkwi usłyszeć nie tylko znajome dźwięki, ale i słowa?

Nasze uprzedzenia

Jeśli dzisiaj ktoś nie chce słyszeć w cerkwi języka polskiego albo białoruskiego, zapytajmy go dlaczego? Skąd się bierze ta niechęć? Nie ma ona raczej źródeł w samej treści, którą niesie dany język. Bo ta musi być jedna. Niechęć, jaką przejawiają niektórzy do języków narodowych w cerkwi, wynika w znacznej mierze z uprzedzeń do tychże języków w ogóle, wreszcie do ludzi, którzy nimi się posługują. Należy ubolewać, iż wdziera się tu niepotrzebnie bakcyl rywalizacji, ze szkodą dla samej istoty rzeczy. Szczególnie widoczne jest to w naszym mieszanym wyznaniowo i etnicznie regionie, gdzie istnieje odwieczny katolicko-prawosławny i polsko-„ruski" antagonizm. Nie jest jednak chyba tak, że aby nie zniechęcać, nie obrażać uczuć Polaków czy Białorusinów, należy w Cerkwi używać uniwersalnego i neutralnego języka scs. Tu raczej powinna obowiązywać taka formuła, że to właśnie stosowanie języka narodowego jest czymś zupełnie naturalnym, a chrześcijanina nie powinno to ani dziwić, ani tym bardziej, jak bywa niekiedy, obrażać. Niedobrym jest stan, gdy dyskusja o języku w Cerkwi pociąga za sobą emocje nie związane de facto z problemami dotyczącymi samej treści wiary i ich prawidłowego przekazania, a raczej spraw narodowych i wynikających stąd uprzedzeń. Nieporozumieniem, i to biorącym się ze złej woli, jest bezpośrednie cedowanie faktu, iż w danej świątyni liturgia (jej fragment) odbywa się w jakimś współczesnym języku narodowym, na fakt tworzenia odpowiednich narodowych preferencji. Jest zwykłą rzeczą, że tam, gdzie ludzie posługują się językiem białoruskim, także i w cerkwi jest on słyszany.

P.S. Nie czuję się kompetentny, aby rozstrzygać o tak istotnych sprawach, jak te, które tu poruszyłem. Uważam jednak, że miałem obowiązek zabrać głos. Myślę, że tylko z korzyścią dla Cerkwi, o której dyskusja powinna toczyć się w szerszym kręgu, nie zamykać się w wąskim gronie hierarchii i duchowieństwa.

Białorusini w telewizji

W związku z licznymi, często dość kontrowersyjnymi wypowiedziami na temat obecności problematyki białoruskiej w programie białostockiego oddziału telewizji publicznej, a nawet sensu istnienia magazynów w języku białoruskim, zdecydowaliśmy się na wydrukowanie opracowania pt. „Tematyka białoruska i prawosławna na antenie ośrodka regionalnego TVP w Białymstoku". Z jego treścią mieli możliwość zapoznania się przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Bolesław Sulik, członkowie Zarządu TVP S.A. oraz dyrekcja telewizji białostockiej. Drukując jego obszerne fragmenty, mamy nadzieję, iż będzie to przyczynek do dyskusji na te, dotyczące przecież nas wszystkich, tematy. Naszym zdaniem, wszystkie opinie na ten temat powinny być brane pod uwagę przez dyrekcję tego najważniejszego medium publicznego w naszym regionie.



Przewodniczący ZBwRP Eugeniusz Wappa wręcza prezesowi Januszowi Daszczyńskiemu 10 tys. podpisów

Fot. J. Kalina

Tematyka białoruska i prawosławna na antenie ośrodka regionalnego TVP w Białymstoku

I. Podstawy prawne

Związek Białoruski w RP, będący federacją siedmiu stowarzyszeń mniejszości białoruskiej (Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich, Białoruskie Zjednoczenie Demokratyczne, Białoruskie Zrzeszenie Studentów, Rada Programowa Tygodnika „Niwa", Stowarzyszenie Literackie „Białowieża", Białoruskie Towarzystwo „Chatka" w Gdańsku, Białoruskie Towarzystwo Historyczne) od półtora roku zabiega o zwiększenie czasu emisji audycji białoruskojęzycznych i o tematyce prawosławnej przez TVP S.A. Podstawy prawne upoważniające do tego radzaju starań to m.in.:

Art. 21 „Ustawy z dnia 29 grudnia 1992 r. o radiofonii i telewizji", w którym stwierdza się m.in. „Do zadań publicznej radiofonii i telewizji należy w szczególności (...) uwzględnianie potrzeb mniejszości narodowych i grup etnicznych".

Art. 36, p. 1. „Ustawy z dnia 4 lipca 1991 r. o stosunku Państwa do Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego", mówiący o tym iż: „Kościół prawosławny ma prawo emitowania w państwowych środkach masowego przekazu nabożeństw w niedziele i święta prawosławne oraz swoich programów religijno-moralnych i kulturalnych".

„Traktat między Rzecząpospolitą Polską a Republiką Białoruś o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy" (Warszawa, 23 czerwca 1992 r.), który w art. 15 stanowi: „Umawiające się strony gwarantują, że osoby (należące do mniejszości białoruskiej w Rzeczypospolitej Polskiej) mają w szczególności prawo, indywidualnie lub wespół z innymi członkami swojej grupy, do: swobodnego posługiwania się językiem ojczystym w życiu prywatnym i publicznym, dostępu do informacji w tym języku, jej rozpowszechniania i wymiany; (...) zakładania i utrzymywania własnych instytucji, organizacji lub stowarzyszeń oświatowych, kulturalnych i innych, które mogą ubiegać się o pomoc państwową, zgodnie z prawem krajowym, korzystać z dostępu do środków masowego przekazu (...).

„Deklaracja praw osób należących do mniejszości narodowych lub etnicznych, religijnych i językowych", przyjęta przez Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych 10 grudnia 1992 r.

„Dokument spotkania kopenhaskiego konferencji w sprawie ludzkiego wymiaru KBWE", Kopenhaga, 29 czerwca 1990 r. oraz innych umów i konwencji międzynarodowych ratyfikowanych przez Polskę

II. Uwarunkowania praktyczne

Do 1995 r. obecność problematyki białoruskiej i prawosławnej w telewizji publicznej była incydentalna. Audycje o mniejszościach narodowych w programach I i II TVP, emitowane nieregularnie i w czasie nie najlepszej oglądalności, w żadnym stopniu nie spełniały oczekiwań naszej społeczności. Również obecnie anteny ogólnopolskie nie przykładają należytej wagi do tej problematyki. Cykliczna audycja pt. „U siebie" w programie I TVP ukazuje się nieregularnie i w nie najlepszym paśmie, a tematyka tam poruszana nie zawsze najtrafniej odzwierciedla białoruską rzeczywistość w Polsce. Uważamy, że ustawowym obowiązkiem telewizji publicznej jest stworzenie profesjonalnej redakcji przygotowującej audycje mniejszościowe, realizowane przy współpracy dziennikarzy z ośrodków regionalnych, wywodzących się ze środowisk mniejszości, bądź specjalizujących się w tej problematyce.

Obecnie, w przypadku Białorusinów i wyznawców prawosławia zamieszkujących w Polsce północno-wschodniej, najważniejszą sprawą jest takie skonstruowanie programu i struktury organizacyjnej tworzącego się w Białymstoku regionalnego ośrodka telewizji publicznej, które odzwierciedlałyby faktyczny stan stosunków narodowych i religijnych w naszym regionie. Podobnie jak stosunek do problemów mniejszości narodowych jest jednym z istotniejszych wyznaczników rozwoju cywilizacyjnego państwa czy narodu, adekwatna obecność problematyki mniejszościowej (narodowej i religijnej) w regionalnym ośrodku telewizji publicznej w Białymstoku będzie probierzem profesjonalizmu i obiektywności tej instytucji.

III. Audycje białoruskie w Warszawskim Ośrodku Telewizyjnym

20-minutowe programy realizowane przez Warszawski Ośrodek Telewizyjny, emitowane w paśmie Telewizyjnego Kuriera Województw, informują o życiu społeczności białoruskiej, działalno-

ści organizacji społecznych i religijnych rozwijających oświatę, kulturę i tradycje narodowe. Prezentowane jest życie codzienne Białorusinów — obywateli Polski, których problemy w większości są zbieżne z tymi, z którymi borykają się ich znajomi i sąsiedzi — Polacy.

Ważne miejsce w programie zajmuje tematyka prawosławna. Wynika to z porozumienia z Prawosławną Kurią Arcybiskupią w Białymstoku, w myśl którego, do czasu powstania audycji prawosławnych, tematyka ta będzie prezentowana w audycji białoruskiej.

Najpoważniejszą część programu zajmuje jednak tematyka kulturalna i bieżące informacje z życia społeczności lokalnych. W audycjach relacjonuje się wizyty i spotkania polityków polskich i zagranicznych, konferencje naukowe i seminaria poświęcone historii i teraźniejszości stosunków polsko-białoruskich. Sporadycznie emituje się również 5-minutowe magazyny historyczne, merytorycznie przygotowywane przez członków Białoruskiego Towarzystwa Historycznego. Dotyczą one historii politycznej, społecznej, gospodarczej, kultury materialnej, demografii i etnografii Białorusinów zamieszkujących w Polsce oraz dziejów Cerkwi prawosławnej na Białostocczyźnie i obszarach przyległych.

Pomimo pewnych początkowych obaw, wynikających z funkcjonujących jeszcze w naszym regionie negatywnych stereotypów i uprzedzeń, mających swe korzenie w przeszłości, programy w języku białoruskim spotkały się z pozytywną reakcją większości widowni. Świadczy o tym 10 tys. podpisów mieszkańców naszego regionu, domagających się zwiększenia czasu ich nadawania. Ważnym czynnikiem wpływającym na odbiór programu było paralelne zamieszczanie napisów w języku polskim, umożliwiających zapoznawanie się z treścią programu widzom nie znającym języka białoruskiego.

Naszym zdaniem, realizowanie audycji w języku białoruskim przyczyni się w znacznym stopniu do eliminowania z życia codziennego postaw nietolerancji, zaściankowego, krótkowzrocznego i opatrznego rozumienia polskiej racji stanu, oraz do budowania w naszym kraju społeczeństwa obywatelskiego. Rola białostockiej telewizji publicznej jest w tym zakresie nie do przecenienia.

IV. Audycje białoruskie i prawosławne w oddziale telewizji publicznej w Białymstoku

Audycje białoruskojęzyczne w białostockim oddziale TVP, naszym zdaniem, po uruchomieniu całego programu powinny być emitowane dwa razy w tygodniu po 30 minut (do przyjęcia jest także wariant trzech lub czterech audycji o łącznym czasie emisji nie mniejszym niż jedna godzina tygodniowo, w zależności od ramówki całego programu ośrodka). W celu ich realizacji powinna być powołana redakcja białoruska z odpowiednią obsadą etatową, dysponująca sprzętem zgodnie z normatywami obowiązującymi w strukturach TVP.

Związek Białoruski dysponuje pięcioma dziennikarzami, którzy przeszli wstępne przeszkolenie w terenowych oddziałach TVP. Ze względów praktycznych również pracownicy obsługi technicznej, (operatorzy kamer, montażyści, realizatorzy dźwięku) powinni znać język białoruski. Oferujemy pomoc w wyszukiwaniu odpowiednich osób.

Zakres programowy audycji powinien obejmować :

1. Blok wiadomości

Bieżące informacje z życia mniejszości białoruskiej w sferze kultury, religii, gospodarki, szkolnictwa, działalność stowarzyszeń białoruskich etc.

2. Blok publicystyczno-reportażowy

Przedstawianie w sposób pogłębiony życia społecznego, kulturalnego, gospodarczego i politycznego mniejszości białoruskiej w Polsce, jej osiągnięć i problemów, a także wybitnych jednostek.

Prezentacja inicjatyw służących propagowaniu zasad współżycia obywatelskiego oraz postaw tolerancji i poznania środowiska białoruskiego.

3. Korespondencje i materiały analityczne z Republiki Białoruś

Prezentacja polsko-białoruskich stosunków międzypaństwowych oraz życia społeczno-gospodarczego i kulturalnego w Republice Białoruś, z uwzględnieniem problemów mniejszości polskiej w tym kraju. Dotychczas problematyka Republiki Białoruś w TVP praktycznie nie istnieje (TVP nie posiada w Mińsku, w odróżnieniu np. od Wilna czy Kijowa, stałego korespondenta). Konieczne jest nawiązanie współpracy w Telewizją Białoruską, jej oddziałem w Grodnie oraz centralną w Mińsku, w celu wymiany materiałów archiwalnych, przesyłania korespondencji etc. Uzyskane dzięki takim kontaktom materiały można sprzedawać na antenę ogólnopolską.

4. Blok edukacyjny

Kursy języka białoruskiego dla początkujących i zaawansowanych.

Lekcje pokazowe języka białoruskiego dla poszczególnych klas szkół podstawowych, średnich oraz grup przedszkolnych. Nagrane na kasetach wideo, mogą służyć jako pomoce dydaktyczne na lekcjach języka białoruskiego.

· Geografia, fauna, flora Białorusi — reportaże.

Reportaże ze szkół białoruskich na Białostocczyźnie, prezentacja osiągnięć i problemów.

5. Magazyn Historyczny (ew. w ramach bloku edukacyjnego)

Rozszerzenie formułu magazynu realizowanego w ramach TKK. Cel: przybliżenie mieszkańcom wschodnich województw naszego kraju wydarzeń sylwetek osób tworzących historię Białorusi i Polski oraz uświadomienie wzajemnego uzupełniania się i nakładania obu kultur. Dzięki temu może zostać wypełniona istotna luka edukacyjna, dotycząca Polaków i Białorusinów, bez czego niemożliwe jest wzajemne poznanie się i zrozumienie. Magazyny, nagrane na taśmach wideo, mogą służyć jako pomoce dydaktyczne przy nauczaniu historii i języka białoruskiego w liceach ogólnokształcących w Bielsku Podlaskim i Hajnówce oraz w innych szkołach na lekcjach historii regionalnej.

6. Magazyn literacki

Prezentacja dorobku twórczego białoruskiego środowiska literackiego w Polsce — piszących w języku polskim członków Związku Literatów Polskich, Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża", debiutantów.

Prezentacja literatury białoruskiej i jej twórców w Białorusi i poza jej granicami.

Przedstawienie polskiego dorobku w dziedzinie przekładu z literatury białoruskiej i białoruskich przekładów z literatury polskiej.

Przypomnienie wspólnych korzeni literatury białoruskiej i polskiej, a zwłaszcza twórców piszących w języku polskim i białoruskim.

Formy przekazu: reportaże prezentujące sylwetki twórców w ich środowisku, inscenizacje teatralne, montaże słowno-muzyczne, recytacje.

7. Magazyn muzyczny

Prezentacja dorobku muzycznego Białorusinów w Polsce (folklor, poezja śpiewana, disco polo, współczesna muzyka młodzieżowa).

Prezentacja ważniejszych zjawisk muzycznych w Białorusi.

8. Magazyn młodzieżowy

Prezentacja problemów środowisk młodych Białorusinów: poszukiwanie

tożsamości, twórczość literacka, ruch muzyczny.

Prezentacja zespołów muzycznych z Polski i Białorusi, videoclipów.

Szerokie relacje z takich wydarzeń białoruskiej kultury młodzieżowej w Polsce jak np. festiwal „Piosenka Białoruska", festiwale „Basowiszcza" i „Jesień Bardów".

Do prowadzenia magazynów proponujemy zaproszenie młodzieży szkolnej.

9. Telewizyjny koncert życzeń

Mając na uwadze dużą popularność Białoruskiego Koncertu Życzeń w Radiu Białystok sądzimy, iż i w telewizji taka forma byłaby bardzo popularna. I, co nie bez znaczenia, przynosiłaby pewne wpływy finansowe. Ewentualna realizacja projektu wymagałaby jednak dłuższych przygotowań. Przede wszystkim chodzi o zgromadzenie odpowiedniej ilości nagrań muzycznych.

V. Uwagi końcowe

1. **Obecność problematyki białoruskiej i prawosławnej nie może ograniczać się wyłącznie do „okienek mniejszościowych".** Groziłoby to „gettyzacją" (samoizolacją oraz postawami nieufności ze strony większości polskiej) tych grup narodowych. Taki model ułożenia programu ośrodka telewizji publicznej przeczyłby jej misji budowania w naszym kraju społeczeństwa obywatelskiego oraz przełamywania barier i uprzedzeń w wymiarze regionalnym.

Naszym zdaniem, ta problematyka powinna być prezentowana adekwatnie do stopnia ważności wydarzeń czy zjawisk również w programach polskojęzycznych (przede wszystkim w serwisach informacyjnych). Całkowite dublowanie tematyki w wersji polskojęzycznej nie ma uzadnienia merytorycznego i finansowego.

Dziennikarze z redakcji białoruskiej powinni mieć obowiązek „obsłużenia" tej tematyki w programach polskojęzycznych.

2. W zasięgu ośrodka telewizji publicznej z siedzibą w Białmstoku, w zwartych skupiskach, według różnych danych, zamieszkuje od 350 do 160 tys. Białorusinów obywateli polskich (cytowane wcześniej informacje Biura ds. Kultury Mniejszości Narodowych MKiSz RP podają liczbę 200 tys.). **Jest to najliczniejsza mniejszość narodowa w regionie, dysponująca najlepiej rozbudowanymi strukturami organizacyjnymi, bazą nauczania języka ojczystego, potencjałem intelektualnym, zapleczem gospodarczym** etc.

Dlatego też, doceniając potrzeby i starania innych mniejszości narodowych, uważamy jednak, iż wyżej przytoczone fakty powinny być brane pod uwagę przy podziale czasu antenowego, obsadzie redakcyjnej i zaangażowaniu środków technicznych w realizację poszczególnych tematów produkcyjnych ośrodka.

Ostatecznym i niepodważalnym argumentem przemawiającym za takim rozwiązaniem jest fakt, iż spośród wszystkich mniejszości narodowych w naszym regionie, to właśnie Białorusini płacą najwyższy abonament telewizyjny.

3. Instytucje i osoby, które zrozumieją, że atutem naszego regionu jest również szeroka reprezentacja kultury białoruskiej i prawosławnej, umiejętnie to wykorzystując, z pewnością odniosą sukces ekonomiczny i zawodowy.

4. Najbardziej kompetentną instancją odnośnie programów o tematyce prawosławnej w naszym regionie jest Prawosławna Kuria Arcybiskupia z siedzibą w Białymstoku. W miarę zapotrzebowania, dziennikarze białoruscy mogą uczestniczyć w realizacji poszczególnych audycji.

6 sierpnia 1995 r. Warszawski Ośrodek Telewizyjny wyemitował pierwszą w dziejach Telewizji Polskiej audycję w języku białoruskim. „Biełaruski wypusk", którego czas emisji zwiększono do dwudziestu minut miesięcznie, ukazał się osiemnaście razy.

21 lutego 1996 r. Zarząd TVP S.A. otrzymał listy z podpisami dziesięciu tysięcy mieszkańców naszego regionu, popierających postulat zwiększenia czasu emisji tych audycji. Prezes Janusz Daszczyński, odpowiedzialny za kontakty z oddziałami terenowymi telewizji publicznej, oświadczył wówczas, iż „będzie to istotny argument przy formowaniu oblicza programowego i organizacyjnego białostockiej telewizji". 4 lipca ten sam prezes zapewniał, że w Białymstoku zostanie utworzona redakcja białoruska. 18 lipca bezpośredni zwierzchnik i przyjaciel dyrektora Kazimierza Puciłowskiego, Aleksander Walczak (SLD), potwierdził wcześniejsze deklaracje: „W Białymstoku powstanie możliwość utworzenia redakcji przygotowującej programy dla mniejszości białoruskiej".

Tymczasem rozpoczął się żmudny proces tworzenia naszej telewizji. I, co gorsza, niemal od początku „kwestia białoruska", a raczej jej nieobecność, odgrywała w nim niepoślednią rolę.

Już pierwszy wywiad nie posiadającego jeszcze oficjalnej nominacji dyrektorskiej Kazimierza Puciłowskiego nie nastrajał optymistycznie: w jego firmie nie będzie audycji białoruskojęzycznych. Kilka tygodni zajęło dyrektorowi tłumaczenie, że został źle zrozumiany, a całej aferze wini są dziennikarze.

Po tym incydencie białostocki dyrektor opowiadał o możliwościach tworzenia całych bloków programowych redagowanych w wersji dwujęzycznej, a nawet kilkujęzycznej: języku (-ach) mniejszości i polskim. Za takim rozwiązaniem przemawiałaby możliwość dowolnego wyboru wersji językowej przez telewidzów. Wystarczyłoby jedynie wcisnąć odpowiedni guzik w... stereofonicznym telewizorze. Cały szkopuł w tym, iż takie telewizory posiada zaledwie kilka procent mieszkańców naszego regionu.

Ostatecznie sprawy potoczyły się zupełnie inaczej.

22 stycznia br. problem wrócił ponownie: na konferencji prasowej dyrektorzy białostockiej telewizji nie odpowiedzieli twierdząco, czy w programie znajdą się audycje w języku białoruskim. Kilka dni później, po krytycznych komentarzach prasowych, zaproponowano „wspólny blok programowy, w którym obok audycji adresowanych do Białorusinów, Litwinów i Ukraińców, znajdą się też materiały o życiu Polaków za wschodnią granicą i traktujące o innych narodowościach mieszkających na naszym terenie, takich jak: Tatarzy, Romowie, Niemcy czy Rosjanie". W tym wariancie dopuszczono możliwość bliżej nieokreślonej wstawki białoruskojęzycznej. Debiut antenowy takiego „wielojęzycznego worka" miałby nastąpić w trudno przewidywalnej przyszłości, co oznacza, iż widzowie audycji białoruskich musieliby pożegnać się z nimi, być może nawet na kilkanaście tygodni.

Od 1990 roku Telewizja Grodzieńska emituje cotygodniową audycję polskojęzyczną „Nad Niemnem" w łącznym wymiarze jednej godziny dwudziestu minut miesięcznie. Cały miesięczny program grodzieński to zaledwie 24 godziny. O tym, czy konieczna będzie interwencja dyplomatów, aby uświadomić dyrekcji białostockiej telewizji, że obecność audycji białoruskojęzycznych to nie tylko sprawa ich wizji, dowiemy się zapewne w najbliższej przyszłości. **red.**

Irena Matus

Odpowiedz, arelu

Długie lata, od roztopów po wczesną wiosnę, wartkim nurtem po szeroko rozlanej Narwi, od źródeł rzeki po Strablę i Tykocin, sunęły długie węże flisackich tratw. Miejscowa ludność białoruska nie znała słowa tratwa, w jego miejsce używała określenia „gleń". Podobnie słowa „areli" bądź „oreli" były synonimami flisaków.

Plusk spienionej wody mieszał się z donośnymi flisackimi komendami i rzewnym, często przy wtórze akordeonu, śpiewem. A na brzegach mijanych po drodze wsi witał i żegnał flisaków tłum bosonogiej, piskliwej dziatwy, przekrzykującej się nieraz w powtarzaniu rymowanki: „Areli, areli, waszy żony pahareli". W tym czasie adresaci tych okrzyków heroicznie walczyli z żywiołem, aby jak najszybciej i możliwie bez strat spławić kłody drewna na wyznaczone miejsce i odebrać od Żyda-najemcy upragnioną zapłatę. W przycupniętych na brzegach rzeki chatach na przednówku czekały na nich głodujące rodziny.

Liche piaski, na których leżały nadnarwiańskie wsie, sprawiały, że w przeszłości flisactwem trudniło się tutaj wielu chłopów. W takich wsiach jak Kaniuki „na arelkę" szli wszyscy młodzi i zdrowi mężczyźni. Dlatego przywiązywano tu bardzo duże znaczenie do płci rodzących się dzieci. Kiedy przychodził na świat chłopiec, mówiono z dumą:

Będzie z niego dobry flisak.

Do tego trudnego i niebezpiecznego rzemiosła chłopców hartowano i przygotowywano od najmłodszych lat. A zdobytą przez pokolenia wiedzę i doświadczenie dziadek przekazywał wnukowi.

Dla wielu rodzin, szczególnie tych najuboższych, sezonowa praca flisaka była poważnym zastrzykiem finansowym. Arelka zrosła się nierozerwalnie z historią nadnarwiańskiej ludności. A jej ranga sprawiała, że cała wieś żyła nią przez okrągły rok.

Na wyprawę nowicjusze szykowali się dużo wcześniej. Gorączka przygotowań rosła wraz ze zbliżaniem się wiosennych roztopów. Jeszcze na długo przed wyruszeniem na wodę mężczyźni zamawiali u miejscowego kowala tzw. *arelski raczki*, bez których nie mogło być mowy o wyruszeniu na spław. Były to żelazne, specjalnie kute nakładki, zakończone u dołu ostrymi szpikulcami, które zakładało się na podeszwy butów. Stanowiły one obowiązkowe wyposażenie każdego flisaka. Zanurzone w wodzie drzewo szybko uwalniało się od kory. Pozbawione tej naturalnej chropowatości stawało się tak śliskie, że nie sposób było po nim chodzić. Raczki umożliwiały swobodne poruszanie się po mokrych pniach. Mocowane za pomocą sznurka do nóg, często się gubiły, stąd zamawiano ich po kilka kompletów.

Flisacy idący na arelkę przed I wojną światową zakładali na nogi zwyczajne łapcie z łyka. Wiele lat poźniej wyparły je skórzane buty. Stąd wzięło się popularne powiedzenie: „Poszedł na arelkę w łapciach, a wrócił w butach".

Bardzo duże znaczenie miało wyczucie najwłaściwszego momentu rozpoczęcia spławu. Musiało to nastąpić wówczas, gdy woda opadła na tyle, że mogła płynąć wartkim strumieniem. Długość sezonu wyznaczała aura. Zima z niewielkimi opadami śniegu, podobnie jak zbyt sucha wiosna, nie sprzyjały flisakom.

Przygotowania do wyprawy rozpoczynały się zimą. Wówczas do wsi przyjeżdżał Żyd-najemca. W okresie międzywojennym był to najczęściej Gruchman, który pertraktował z główkowym. Był nim najbardziej doświadczony flisak, który kierował zestawem tratw. Od jego wiedzy i umiejętności w bardzo dużym stopniu zależało powodzenie wyprawy. We wsi Kaniuki taką funkcję pełnił Klemens Naumiuk, a przed wojną jego ojciec Leon i Sidor Doroszuk. Po wynegocjonowaniu warunków, główkowy dobierał sobie brygadę (w praktyce robił to zazwyczaj dużo wcześniej). Musiał to być pod każdym względem bardzo zgrany zespół. Chłopak, chcący po raz pierwszy wybrać się na arelkę, nie będący synem flisaka, musiał się dużo nachodzić z główkowym, aby ten zgodził się go przyjąć. Główkowy, oprócz tego że był najlepiej sytuowanym gospodarzem we wsi, cieszył się również powszechnym autorytetem. Dlatego o jego sympatię szczególnie zabiegali młodzi chłopcy, gdyż od powodzenia pierwszej wyprawy niejednokrotnie zależał ich dalszy los. Młodzieńcy prześcigali się w prezentowaniu swojej siły i sprawności fizycznej. Nierzadko też — w stawianiu główkowemu gorzałki.

Na pierwszej wyprawie

adept flisacki przechodził swoisty chrzest. To jego najczęściej wysyłano do pracy w lodowatej wodzie. Nierzadko też z premedytacją wrzucano do rwącego nurtu. Praca na spławie wymagała, by hart ciała szedł w parze z silnym charakterem. Nowym nie wydawano żadnych papierów czeladniczych. Ich wizytówką i dyplomem była siła, spryt, hart i doświadczenie. O najlepszych wszyscy zabiegali, najsłabsi musieli sporo się natrudzić, by dołączyć do brygady. Nieraz areli łączyły więzy pokrewieństwa, częściej jednak zastępowały je silne muskuły. Byli też tacy, którzy z nieprzeciętnej krzepy i doświadczenia słynęli w całej okolicy. Tak jak znana w okresie międzywojennym brygada braci Zubryckich z Narwi.

Kiedy skład ekipy był ustalony, a torba arelska wypełniona ekwipunkiem (kilka par raczków, liny, kociołek, prowiant), nadchodził czas wymarszu. Z siekierą wetkniętą za pas i długą tyczką w ręku, szli flisacy do źródeł rzeki.

Tam szykowano tratwy. Konie przyciągały drzewa do brzegu rzeki, co dawało niezły zarobek miejscowym chłopom. Dopiero w wodzie zbijano je w tratwy. Ich długość i szerokość zależała od rodzaju i grubości pni. W zależności od zapotrzebowania, spławiano drzewa liściaste lub iglaste. Gdy transportowano dąb bądź olchę, które są bardzo ciężkie, to gleń obijano dodatkowo kłodami świerkowymi, tzw. opławami. Świerk był lżejszy, co sprawiało, że tratwa lepiej utrzymywała się na tafli wody. W zależności od grubości, gleń tworzyło 8-10 kłód. Pnie na końcach zbijano dwiema poprzecznymi żerdziami, wiązano drutem i linami oraz zbijano gwoździami.

Kiedy pojedyncze glenie były gotowe, łączono je w tzw. pas (składał się on z ruchomo połączonych kilku, a nawet kilkunastu gleni). Taki sposób łączenia sprawiał, że zestaw tratw był ruchomy i dawał się łatwo kierować.

Szczególną rolę w pasie spełniały pierwsza i ostatnia tratwa. Na pierwszej stał dowodzący ekspedycją główkowy. Stąd też dochodziły komendy do pozo-

stałych flisaków. Rozkazy musiały być wykonywane bardzo szybko i dokładnie, bowiem od zgrania zespołu zależało bardzo wiele. W przypadku, gdy główkowy kazał skoczyć do wody w celu wykonania jakiejś czynności, nie było mowy o odmowie wykonania polecenia.

Na ostatnim gleniu był hamulec, którym, w razie potrzeby, można było zahamować cały zestaw tratw. W środku ostatniej tratwy pozostawiano duży otwór w kształcie studzienki. Drugim elementem takiego hamulca był mocny dębowy pal, z ostro zakończonym końcem. Na komendę główkowego: *Łapaj szryku!*, na ostatnią tratwę wskakiwało kilku flisaków i wkładało pal w otwór. Gdy ostro zakończony koniec wbijał się w dno rzeki, wszystkie tratwy wytracały prędkość.

W miejscach, gdzie rzeka wiła się i tworzyła zakola, przeprowadzenie całego spławu wymagało wykonania bardzo skomplikowanych czynności. W takich momentach główkowy podawał komendę: *Z odbiżkom!* Wówczas jeden z flisaków wskakiwał do wody i wbijał w brzeg ostro zakończony pal. Drugi jego koniec wpierał w koniec tratwy, by w ten sposób ustawić ją równolegle do biegu rzeki. Dlatego jeszcze wiele lat potem brzegi Narwi były podziurawione flisackimi palami, szczególnie w miejscach, gdzie rzeka tworzyła zakola.

Nierozłącznym narzędziem pracy arela była tzw. „liska". Była to długa, dochodząca do 10-12 metrów tyka. Z jednej strony była mocno zaostrzona, z drugiej zaś kończyła się „hamerkiem", brzozową poprzeczką o długości 20-30 centymetrów. Liska służyła do sterowania tratwami. Gdy zachodziła taka potrzeba, flisak kładł na klatkę piersiową hamerek, i — zapierając się z całej siły — odbijał tratwę od brzegu. Liskę wykonywano z drzewa świerkowego, ponieważ musiała być bardzo sztywna.

Oprócz zgrania ekipy, powodzenie wyprawy zależało od kilku innych czynników — w tym od znajomości rzeki, a przede wszystkim od fachowego przeprowadzenia tratw przez niebezpieczne miejsca. Zdarzało się, że nawet doświadczonych i dobrze znających koryto rzeczne flisaków Narew potrafiła oszukać. Wynikało to najczęściej z naturalnych zmian, jakie zachodziły w rzece: w ciągu zimy tworzyły się nowe płycizny, powstawały nowe wiry. Żywioł nieustannie przeciwstawiał się człowiekowi.

Kiedy glenie osiadały na płyciźnie, oznaczało to dodatkową, bardzo trudną pracę. W przypadku, gdy nie udawało się przeprawić tratw w całości, nie pozostawało nic innego, jak rozbijać pas i przeprawiać je pojedynczo. Po zakończeniu takiej operacji wiązano je na nowo. Zdarzało się, że trzeba było to powtarzać kilka razy w ciągu jednego spławu. Szczególnie trudne do pokonania były brody w Janowie i Kaniukach. Dlatego flisacy spieszyli się z rozpoczęciem spławiania drewna do czasu, gdy poziom wody był na tyle wysoki, że płycizny i brody nie stanowiły przeszkody.

Jeszcze większą zmorą flisaków były wiry. Pokonanie dużego wiru wymagało nie lada umiejętności całej załogi. Była to prawdziwa próba sił między człowiekiem i żywiołem.

Niezależnie od poziomu wody, wiry zawsze były groźne. O ile płycizny tylko dodawały flisakom pracy i przedłużały czas spławu, to wiry powodowały dodatkowo straty materialne. Wprowadzenie tratw na duży wir było bardzo niebezpieczne. W jednej chwili łamały się żerdzie łączące glenie, pękał drut łączący kłody. Wciągnięte w środek wiru drzewa ustawiały się w pionie i niczym cienkie patyczki łamały się na oczach bezradnych flisaków. Połamane drewno obniżało zapłatę za flisacki trud.

Jednym z najniebezpieczniejszych wirów na Narwi była „Bezdenna Jama", lub „Lichacz" w okolicy Janowa. Już sama nazwa sugerowała zło i niebezpieczeństwo czyhające w tym miejscu. O takich miejscach flisacy opowiadali legendy, będące przestrogą dla innych. W ich baśniowym świecie przewijały się rusałki, panoszyły się złe wiedźmy i straszne stwory. Swoje niepowodzenia podczas spławu arele tłumaczyli właśnie złą wolą tych stworów i rusałek. Obwiniano również nowicjuszy. Rusałki miały mścić się w imieniu oszukanych przez nich młodych dziewcząt. O błędach popełnianych przez flisaków podczas spławu nie mówiło się głośno, gdyż zbyt ciężko za nie się potem płaciło.

Opowieści flisackie były barwne, a zarazem smutne, podobnie jak los samych flisaków. Na ich podstawie powstawały legendy, powtarzane w czasie długich jesiennych i zimowych wieczorów w wiejskich chatach.

Los flisaków miewał bardzo smutny finał. Możliwość szybkiego zarobienia pieniędzy, jaką dawała rzeka, młodzi chłopcy nieraz przypłacali własnym życiem. Nie były to na szczęście częste przypadki. Zawdzięczać to należy wysoko rozwiniętemu poczuciu odpowiedzialności za los towarzyszy pracy. Każdy flisak wiedział, że w razie potrzeby zawsze może liczyć na pomoc kolegów. Zgranie i zaufanie było w tym zawodzie bodaj najważniejsze. Flisacy mieli na tyle zakorzeniony nawyk spieszenia na ratunek innym, że rzucali się nawet pod krę, nie zważając na zagrożenie własnego życia. Mówiło się nawet, że flisak wśród flisaków nie może się utopić.

Ale prawdziwe zagrożenia, jakie niosło ze sobą to zajęcie, ujawniały się po jakimś czasie. Wymuszone kąpiele w lodowatej wodzie wczesną wiosną często powodowały silne przeziębienia i zapa-



Pozimowe rozlewisko Narwi pozwalało flisakom na dwu-, a czasem i trzykrotny spływ drewna

lenia płuc. Ogólne ubóstwo i niski poziom opieki zdrowotnej sprawiały, że nawet młode organizmy przegrywały w starciu ze śmiertelną chorobą. Zdarzało się, że nie wyleczone zapalenie płuc po jakimś czasie kończyło się gruźlicą, na którą nie było lekarstwa. Niektórzy próbowali leczyć się wódką, topiąc w niej cały majątek. Częste kontakty z lodowatą wodą, przemoczenia i przeziębienia powodowały, że arelka dawała o sobie znać do końca życia. Po latach, kiedy niemiłosiernie kręciło w chorych na reumatyzm stawach, niejeden flisak przeklinał swoje zajęcie.

Na ciężko zapracowany arelski grosz czyhały jeszcze inne niebezpieczeństwa. Przede wszystkim, gęsto usiane na szlaku żydowskie karczmy. Zdarzało się, że mający słabość do rozrywek flisacy, zanim dotarli do domu, tam zostawiali cały swój zarobek. Szczególnie cierpiały na tym rodziny. Karczmy stały m.in. w Puchłach, Kaniukach, Wojszkach i Doktorcach. Jeśli poziom wody na rzece był wysoki, ci, którym zdarzyło się przepić całą wypłatę, często nie zachodzili nawet do domu. Szli prosto do puszczy i ponownie wynajmowali się do spławu. Jeśli wiosna sprzyjała, w czasie jednego sezonu na arelkę można było chodzić dwa, a nawet trzy razy. Flisak powracający do domu z zarobionymi pieniędzmi sprawiał radość całej rodzinie. Szczególnie cieszyły się dzieci, które otrzymywały od ojca prezenty.

W czasie rejsu flisacy rzadko schodzili na brzeg. Chyba że zmusiły ich do tego okoliczności. Zmarznięci i przemoczeni podczas wiosennego sztormu musieli wysuszyć się i ogrzać w wiejskiej izbie. Zdarzało się, że wichura niszczyła nawet arelską budę, będącą jedynym schronieniem na tratwie. Był to zwyczajny szałas, kryty słomą bądź trzciną. Przechowywano w nim drut, liny, narzędzia, ubranie. W czasie niepogody suszono zmoczone ubrania. Palenisko umieszczano przed wejściem do szałasu. W tym miejscu kładziono na kłody grubą darń, a dopiero na niej rozpalano ogień. Nad ogniskiem, na dwóch dobrze umocowanych rozwidlonych kołkach, umieszczano drewnianą poprzeczkę, do której mocowano kociołek. Podstawą pożywienia podczas rejsu były ziemniaki. Po ugotowaniu tłuczono je trzonkiem od siekiery, który do dziś nazywa się „arelskim wałkiem".

Włodzimierz Naumiuk z Kaniuk, pochodzący z rodziny, w której arelska tradycja sięga wielu pokoleń, wspomina, jak na nocleg do ich domu przychodzili flisacy. Do izby przynoszono snop słomy, na której pokotem kładli się arele. Na ich wysmaganych wiatrem i pierwszymi promieniami wiosennego słońca twarzach rysowało się wielkie zmęczenie. Wszędzie, gdzie się tylko dało, rozwieszali zdjęte z nóg onuce. Nie sposób dziś opisać smrodu, jaki one wydzielały. A skoro świt nocni goście zrywali się i szli na rzekę. Na noclegi flisacy zachodzili do tych wsi, z których pochodzili towarzysze wyprawy, znajomi lub krewni.

Wiosna w rodzinach flisackich była szczególną porą roku. Rodzinie dobrego arela powodziło się nie najgorzej. Zajęcie to burzyło sztywny schemat, według którego w okresie międzywojennym na wsi jedynie wielkość posiadanego gospodarstwa była wyznacznikiem chłopskiej zamożności. Za zarobione pieniądze kupowano przedmioty codziennego użytku, naftę, płacono podatek. Najlepiej zarabiali główkowi.

***

Od tych czasów minęło wiele lat. Nikt już nie wykorzystuje Narwi do spławu puszczańskiego drzewa. Zmeliorowana Narew bardzo wiele straciła ze swej malowniczości i uroku. Bezpowrotnie zniknęły z nadrzecznego krajobrazu dostojne, snujące się po rzece, długie węże arelskich tratw. Z poranną czy wieczorną mgłą nie unosi się już dym arelskich ognisk, nie słychać ich charakterystycznych nawoływań i pieśni.

Tak bardzo przez dziesięciolecia zrośnięta z przeszłością tutejszych wsi tradycja została zapomniana. Odeszli prawie wszyscy arele, zabierając ze sobą swój świat. Nawet w rodzinach o bogatych tradycjach flisackich młode pokolenie nie zawsze wie, co to znaczy pójść na arelkę. Tylko gdzieniegdzie w spichrzu bądź na strychu można znaleźć zardzewiały arelski raczek.

Michał Matwiejuk, nieżyjący już nauczyciel, syn arela z Kaczał, próbował przywołać i uwiecznić na papierze obraz pracy flisaków:

Гэй, арэлю, адгукніся!
Чуеш ты, ці не?
Памятаеш як калісьці
дрэва гнаў ты па рацэ?

А вада ў рэчцы бульбоча,
паласкаць ім дрэва хоча.

Czy arele usłyszeli jego poetyckie wołanie? Najstarsi mieszkańcy twierdzą, że jeśli ktoś bardzo chce usłyszeć rzewny śpiew flisaka, to powinien udać się wiosenną porą nad Narew, stanąć na brzegu i całą duszą wsłuchać się w jej szum. Pomna tych zapewnień spróbowałam. I udało się. Proponuję spróbować innym.

A może ktoś zobaczy rusałkę, wynurzającą się z groźnego wiru Lichacz pod Janowem. Jeśli tak, radzę uważać.

Irena Matus

Fot. ze zbiorów W. Naumiuka

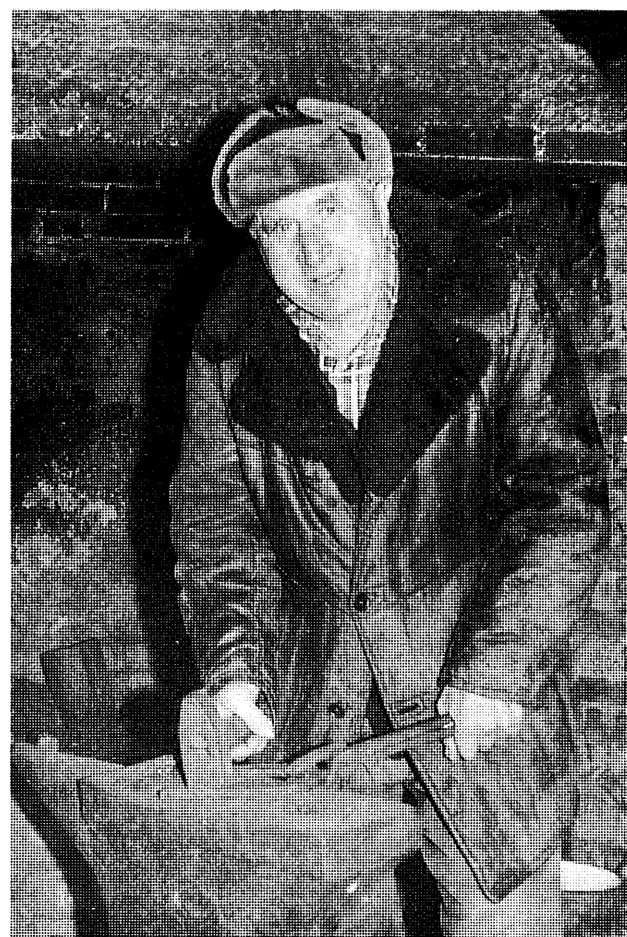


Po opadnięciu wód kończył się zarobek flisaków

Michał Mincewicz

Kowal z cerkiewnego chóru

Stal przypomina kobietę — gdy czule i delikatnie się ją pieści — można z nią zrobić wszystko. Różnica polega tylko na tym, że stal pieści się przy użyciu młota kowalskiego, ognia i stalowych kleszczy.


Michał Szymański

Starą kuźnię Michała Szymańskiego z Orli znają w okolicy wszyscy — stoi przy przydrożnym krzyżu, jak zabytkowa kapliczka. Krzyż postawili na początku XIX wieku na gruncie dziadka zrozpaczeni gospodarze, gdy zaraza zabijała bydło, a w oczy zajrzało widmo głodu. Zaraza ustąpiła, a krzyż, mocno zniszczony przez czas, stoi do dziś i chyląc się w stronę orlańskiej świątyni, przypomina o tych wydarzeniach.

Kuźnia powstała w 1937 roku. Przez ponad pół wieku dolatywały z niej metaliczne dźwięki uderzeń młota. Michał Szymański pracowałby dalej, siłę i precyzję w rękach jeszcze czuje, ale od kilku lat zmogła go ciężka choroba stawów biodrowych. Próbuje chodzić na dwóch kulach.

— Najtrudniej wejść na chór w cerkwi — mówi. Jego piękny bas w cerkiewnym chórze jest niezastąpiony — śpiewa od sześćdziesięciu lat. Z chórem uczestniczył w IX i XII Festiwalu Muzyki Cerkiewnej w Hajnówce.

Kowalstwa nauczył się od starszego brata Ignacego. Ten z kolei trzy lata praktykował u orlańskiego Żyda Chajme Bachraka.

— Pracowaliśmy razem — wyznaje Michał Szymański, dziś 75-letni kowal, gdy rozmawiamy w mroźny zimowy dzień, siedząc w ciepłej kuchni. Wszystkie klamki w mieszkaniu kowala, zrobione hen przed laty, służą niezawodnie. Pani Maria, żona, pokazuje inne efekty pracy męża: stary nóż kuchenny zrobiony z kawałka kosy, fantazyjny świecznik, podstawkę na kwiaty i solidne zawiasy do drzwi.

— Było pracy dla dwóch kowali. Bo, na przykład, siekiery czy sierpa, to jeden kowal dobrze nie wykuje. Przekuwaliśmy też sierpy kupowane w sklepie. Roboty przy tym było dużo. Kosa weszła nie wcześniej niż 20-30 lat temu. A do tego czasu w użyciu był tylko sierp.

Idziemy po skrzypiącym śniegu do starej kuźni. Kowal otwiera drzwi przy pomocy klucza własnej roboty. W słabo oświetlonym pomieszczeniu utrzymuje się zapach dawno palonego ogniska, pełno sadzy i kurzu. Tuż przy wejściu, na zagraconym stole, przytwierdzone solidne imadło, kawałki żelastwa i mnóstwo nowych, pięknie kutych końskich podków. Większą część kuźni zajmuje skórzany miech kowalski. Na ścianach wiszą narzędzia.

Podchodzimy do wielkiego, stojącego na pieńku, kowadła. Gdy obaj zapalamy papierosa, zaczynamy rozmawiać.

— W domu żona nie pozwala palić, a tutaj zawsze było pełno dymu. Kuźnia mego dziadka działała bez prądu. Miech kowalski, z dwóch skór wołowych, w 1937 roku zrobił kowal Moroz ze Szczyt. Kupiliśmy tylko kowadło i imadło, pozostałe sprzęty i narzędzia są własnego pomysłu i roboty: ognisko kowalskie, przewód kominowy, kleszcze, młotki, przecinaki, przebijaki, trzpienie, nadstawki, żłobniki, obsadzki, odsadzki, gładziki, gwoździownica, foremniki...

— Najwięcej pracy było przy podkuwaniu koni. Trafiały się ze zdeformowanymi kopytami, ale gdy kowal wykuje dobrą podkowę, to kopyto może się naprawić. Podkowy dopasowywało się na dwa sposoby: na zimno, strugając kopyto do kształtu podkowy, i na gorąco — kopyto wypalało się rozżarzoną podkową. Robiłem gwoździe — afnele do podków, i hacele — które wkręcano w podkowę, po trzy albo cztery sztuki w jedno kopyto, w zależności od wielkości konia, żeby nie ślizgał się po lodzie. A kto teraz widział konia podkutego hacelami? Teraz jeśli nawet jakiś gospodarz trzyma konia, to całą zimę nie wypuszcza go na podwórko, żeby chociaż się nie przeziębił.

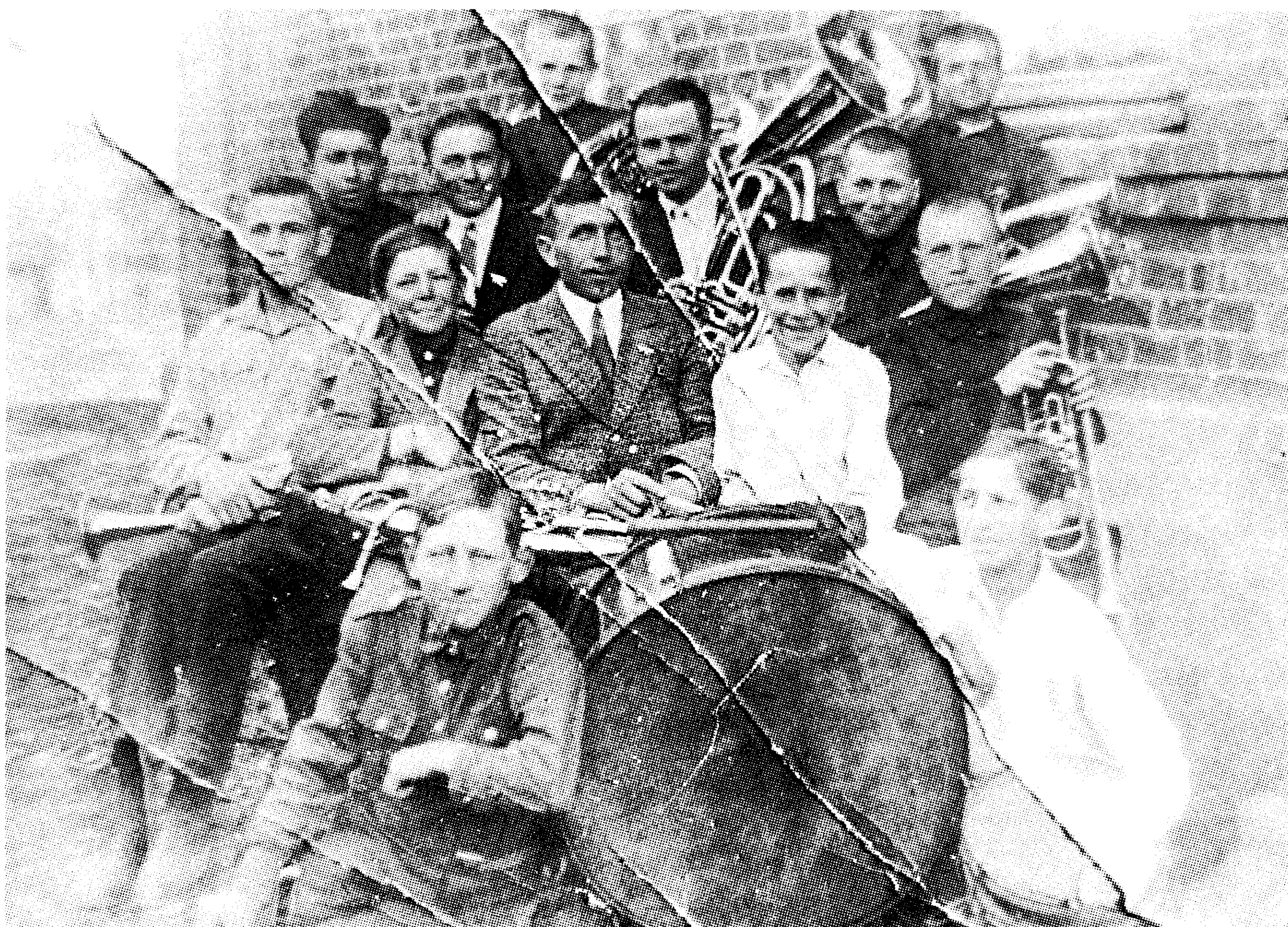
— Konie były różne — z uśmiechem


Kuźnia stoi przy krzyżu, niczym zabytkowa kapliczka

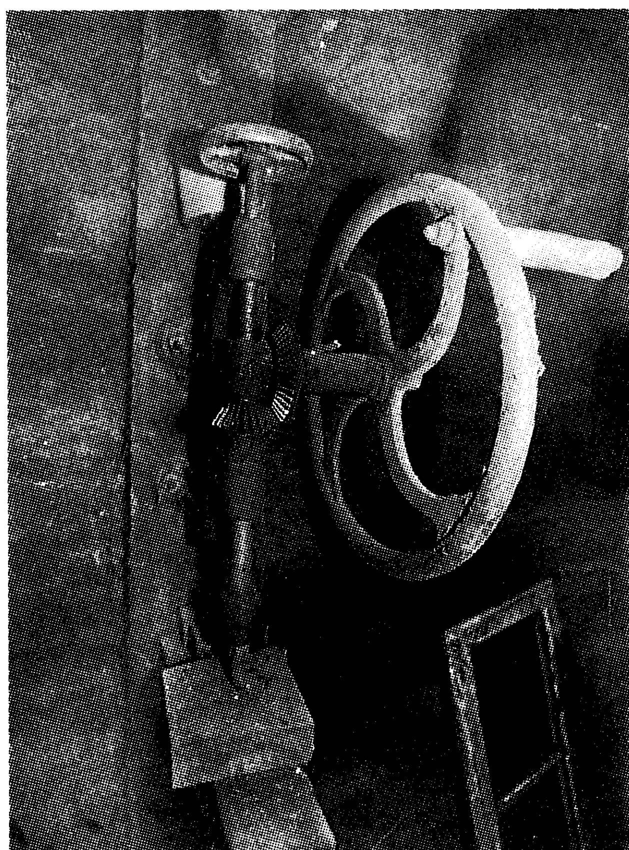
wspomina pan Szymański. Żeby koń stał spokojnie, zakładało się taką fajkę na wargę konia, a postronkami przywiązywało się nogi. Zdarzało się, że ręce miałem pokaleczone gwoździami. Raz nawet koń wybił mi nogą ząb.

W lach 50. starszy brat Ignacy poszedł do kuźni Gminnej Spółdzielni. Na ojcowiźnie Michał Szymański został sam.

— Do kuźni szło się na cały dzień. Chociaż w moim przypadku nie stanowiło to problemu. Swoją pracę bardzo lubiłem. Gorzej było z żoną. Nie raz miała do mnie pretensje, że w kuźni przebywałem dłużej niż w domu. Robiłem różne rzeczy, praktycznie wszystko z czym przychodzili do mnie ludzie: pługi konne i lemiesze, brony, siekiery,



Strażacka orkiestra dęta w Orli. Bohater artykułu, Michał Szymański, po prawej stronie w środku, z kornetem w ręku. W centrum dyrygent z Bielska, Władysław Okuszko oraz koledzy ze szkoły. Chrześcijanie: Aleksander Jarymowicz (później pracował w kancelarii premiera Piotra Jaroszewicza), Aleksander Kubajewski i Aleksander Korniej oraz Żydzi z Orli: Mejer Tofiłowski, Erszul Miklacki, Szejkin Topolański, N Grybicki, N Bertman, N Szmagler, N Wiernik (repr. zdjęcia z 1933 r.)



Unikatowa stołowa wiertarka ręczna ze starej kuźni

młotki, sierpy, noże, zawiasy. Pracy nigdy nie brakowało.

— Stal do kuźni brało się ze złomu samochodowego. Potem było lepiej, można było ją kupić w sklepach Gminnej Spółdzielni. Nagrzewało się ją do górnej granicy kucia, a potem szybko kuło, żeby nie ostygła poniżej temperatury, przy której obróbka mechaniczna jest niemożliwa. Gdy do tego dochodziło, proces należało powtarzać, gdyż kucie zimnego metalu groziło powstaniem niewidocznych gołym okiem pęknięć. A taki materiał to już szmelc.

— Temperaturę ocenia się na podstawie koloru obrabianego metalu. Doświadczony kowal potrafi to zrobić z błędem nie przekraczającym stu stopni. Na przykład kolor złoty oznaczał temperaturę dobrą do hartowania siekiery.

Mimo że pracy było dużo, Michał Szymański miał czas na inne zajęcia. Od 1933 do 1941 roku grał na kornecie w orlańskiej strażackiej orkiestrze dętej.

— Gdy w 1939 roku przyszli Rosjanie, orkiestrę przejęła kaflarnia. W 1941 roku Niemcy zabrali instrumenty i od tego czasu orkiestry dętej w Orli już nigdy nie było.

Zainteresowania muzyczne nie opuściły go do dziś. Od 60 lat pan Michał jest podporą chóru parafialnego w orlańskiej cerkwi. Teraz, gdy trudno mu się poruszać samemu, każdą niedzielę zawożą go do cerkwi samochodem.



Na stole mnóstwo nowych, pięknie kutych podków

***

Rzemiosło kowalskie zanika. Nie ma szkół kształcących w tym fachu, nie ma też specjalnego zainteresowania. Zmieniła się też sama wieś. Koni do podkucia i pługów do naprawy jest coraz mniej. Masową produkcję kowalską przejęły młoty parowo-powietrzne, przeciwbieżne, prasy matrycowe w zakładach przemysłowych.

Pracę pomocnika kowala zastępują młoty mechaniczne. Ciężki kloc stali jest podnoszony na pewną wysokość, a następnie spada na przekuwany kawałek metalu pod wpływem własnego ciężaru lub dodatkowo napędzany parą, sprężonym powietrzem bądź działaniem sprężyny.

Fot. Autor

Pa-padlaszucku

Proponujemy uwadze Czytelników dwa teksty dotyczące podlaskiej i poleskiej problematyki etniczno-socjologicznej. Ich dobór nie jest przypadkowy. Sytuacja kulturowa Poleszuków w Białorusi jest bowiem analogiczna do sytuacji Podlaszuków zamieszkałych w województwie białostockim.

Pierwszy tekst dotyczy Podlasia. Jest jednocześnie próbą publicystycznego zapisu języka potocznie używanego przez ludność prawosławną zamieszkałą na Podlasiu.

Drugi to przedruk fragmentu artykułu Pawła Cieraszkowicza z Mińska, wydrukowanego w piśmie „Forum" (2/96).

Mamy nadzieję, że lektura tych tekstów skłoni Czytelników do dyskusji nad problemem oraz przyczyni się do powstawania innych tekstów w dialektach języka rusko-podlaskiego (staro-białoruskiego).



Фота М. Гайдука

Пуодляшук — белорус чы украінэць?

Коли заходит наш двадцяты віек, коли народы почынают подсумоўвати тое, што створыли чэрэз сіетэ сто ліет, у нашуом кусочкови Еўропы деюцце рэчы цикавы и нэпрадказальны. Пуодляшшэ, якое лижыт на пэрэкрыжованю этносуў и культур, пэрэжывае свуой культурны рэнэсанс. Як николи раней мнуого выходит тут слова друкованого, родяцце до жыця што-раз то новы культурно-освіетны иницыятывы. Можна, вядомо, дыскутовати над вартосцёю и сэнсовносцёю нэкоторых з их. И пытати — чы ўносят воны добры вартости? Чы розбурают Добро и прычыняюцце шчэ буольш до асымиляцыйных процэсуў?

Для Пуодляшша пытанни тые актуальны и важны. Важны тым буольш, што шчэ нэ до куонця роскрыты культурны потэнцыял людэй и зэмле. А выникае тое з характэру этносу тут жывучого: этносу з особливою мовою и гисторычными традыцыями. Коли глянэмо нэ так вжэ ў далёку гисторыю и прочытаемо урадовы акта Вэликого Княства Литовського, особливо з пэрэлому XV и XVI вв., побачымо, што ихня мова вэльми близька мови, якую на што дэнь говорыт православнэ насэленне Бельшчыны. Досліедчыки той гисторычны, урадовы язык называют старобелоруським. Захованe тэи мовы то вэлики пуодляськи скарб, якого трэба схороняти и помножувати.

Коли глянэмо ў новіейшу гисторыю станэ нам ясным, у сторону якого нацыёнального руху пуодляшуки хилилися найбуольш. Од початку XX в., особливо ў мижвоенны час, розвиваўсе тут белоруськи рух. Людэ выбирали послуў у Белоруські посольскі клуб, доставалося им нэкепско за працю ў Громадзе, як тым з Старого Бэрэзова. У час I и II вуойны и посля іе творылися тут белоруськи школы. Сами ўлады ўважали пуодляшукуў белорусами. Божа воля видно была такая... Дякуючы тому зосталися мы на руодну́й зэмэльци и нэ были вывэзёны ў 1947 рокови як тые нэшчасны украинци, лэмки и пуўднёвы пуодляшуки.

По 1956 рокови на нашуом Пуодляшшу хутко розвивався белоруськи рух. Нигдэ ў Белостоцькому чы Сокульському повіетах нэ было туолько тэатральних и спивачых груп, ну и белоруських шкуол, што на пуўдэнь од Нарвы. Пуодляшуки прыняли белоруську литэратурну мову як свою.

Одночасно бачылося, што скомунизованэ БГКТ нэ можэ, чы нэ хочэ, вникнути ў спэцыфику пуодляського этносу, его мовы и традыцыи.

Такая постава заховалася до початку 80-ых годуў, коли пару, сфрустрованых такими односинами, молодых пудлясько-белоруських диячуў, додатково натхнёных людьми "нэ од нас" почало формувати украинськи рух. За тое были воны однозначно прыговороны як "здрадники". И тые ж "здрадники" од сэбэ почали оплёўвати ў "Кругах" и "Украинцях Пуодляшша" ўсё и ўся што белоруськe на Пуодляшшу. Раз попаўшы ў круг украинських интэрэсуў нэ хватило им часу и хотения на буольш розсуднэ накирувaне энэргии для культурного розвитку Пуодляшша.

З другой стороны, сильна пуодляська група ў белоруськом рухови нэ ўміела, або нэ хотіела, свідомо працювати ў пуодляським накирункови, и зоставатися прытым надалей у обсягу белоруського культурного обшару. Вядомо, што ластуўки того были, напр. твуорчость Зоси Сачко, чы Виктора Стахвюка. Были тожэ спробы ввэсти ў "Ниву" сторонку на пуодляськіх дыялектах. Одказ на сіету пропонову быў одмоўны.

Зоставалося и зостаецце далiей доволи нэмалая група людэй, розумеючых близьки сувязи Пуодляшша з белоруським культурным обшаром. Воны однако глыбоко, аж до болю, одчувают свою пудляську одрубность и хочут творыти свою культурну рэальность у пуодляськум, руськум духови.

Дорофей Фіёнік

Поясненни для чытачуў:

— ***и** чытаем як пуольське **i***

— ***е** чытаем як **je***

— ***э** як **е***

— ***i** (i) выступае тулько у дыфтонгу **ie** (ije)*

— **ў** одповядае белоруському **ў** (короткому).

Сваеасаблівасьці палешукоў

Яшчэ ў другой палове XIX ст. склаліся тры пункты гледжаньня адносна этнічнай прыналежнасьці жыхароў Заходняга Палесься. Згодна зь першым, што меў найбольшую колькасьць прыхільнікаў, палешукі лічыліся ўкраінцамі. Галоўнай падставай для такога меркаваньня было падабенства палескіх гаворак да ўкраінскай мовы. Падкрэсьлім, што такой думкі прытрымліваўся ня толькі, умоўна кажучы, “украінскі бок”, але й шэраг беларускіх навукоўцаў, якіх цяжка абвінаваціць у адсутнасьці патрыятычных пачуцьцяў (Я. Карскі, Е. Рамананаў і г.д.)

Адпаведна другому падыходу, палешукоў адносілі й адносяць да беларусаў. Колькасьць прыхільнікаў такога пункту гледжаньня павялічваецца. І адбываецца гэта ня толькі таму, што пераважная большасьць палешукоў сёньня ўсьведамляе сябе беларусамі (а менавіта самасьвядомасьць — галоўная падстава этнічнай ідэнтычнасьці). Падставай таго ёсьць традыцыйная матар’яльная культура Палесься, якая ня толькі непадобна на ўкраінскі архетып, але і ў некаторых праявах (напрыклад — у адзеньні) выступае як сваеасаблівы сымбаль беларускасьці.

І, нарэшце, згодна з трэцім падыходам, сваеасаблівасьць палешукоў настолькі істотная, каб аддзяляць іх ад беларусаў, і ад украінцаў. Упершыню такія думкі былі выказаны яшчэ П. Баброўскім і П. Шпілеўскім у сярэдзіне XIX ст. А ў пачатку 80-х гг. ужо XX ст. сфармаваўся паляшуцкі (“яцьвяскі”) рух. Пра яго ў апошнія гады пісалася ўжо шмат (у тым ліку й аўтарам гэтых радкоў), таму ёсьць сэнс спыніцца на двух наступных момантах. Наяўнасьць этнічнай самасьвядомасьці нават у адносна нязначнай колькасьці прадстаўнікоў групы зьяўляецца сур’ёзнай падставай для пастаноўкі пытаньня аб вылучэньні яе ў якасьці суб’екта міжэтнічных адносінаў — г.зн. у якасьці меншасьці.

Трэба аднак адзначыць, што колькі-небудзь абсалютна надзейных крытэрыяў, такой атрыбуцыі няма ні ў айчынным, ні ў міжнародным заканадаўстве. Прыкладам таго — Эўрапейская хартыя правоў лінгвістычных меншасьцяў, у якой вызначаньне парамэтраў такіх меншасьцяў надзвычай шырокае. Як сьцьвярджаюць экспэрты Рады Эўропы, зроблена гэта наўмысна, каб не абмяжоўваць сувэрэннае права кожнай краіны самой вырашаць гэтае пытаньне. Трэба дадаць, што зыходзячы з гэтых жа меркаваньняў у міжнародным праве адсутнічае вызначэньне нацыянальнай меншасьці. Таму з пункту гледжаньня міжнароднага права пытаньне наданьня палешуком статусу меншасьці застаецца адкрытым. Не выратоўваюць і спасылкі на прэцэдэнты ў іншых краінах. Так, напрыклад, у мінулым годзе ўлады Славакіі прызналі карпата-русінаў у якасьці меншасьці на той падставе, што яны стварылі ўласную граматыку. Аднак у той жа час улады Украіны, у якой жыве большасьць карпата-русінаў, ня толькі не прызналі іх, але й нават выказалі афіцыйны дыпляматычны пратэст з гэтай нагоды. У гэтым кантэксьце прызнаньне палешукоў статуснай меншасьцю выглядае яшчэ больш праблематычным. Да таго яшчэ трэба дадаць, што сам палешуцкі рух, мякка кажучы, перажывае відавочны крызыс, калі не сканаў увогуле. Прычыны паразы “яцьвяскай” ідэі



Фота М. Гайдука

заслугоўваюць больш дэталёвай размовы. Чыста аб’ектыўна яна мела ўсе падставы для рэалізацыі. Аднак нацыянальная міталёгія, створаная лідарамі руху, аказалася празьмерна казачнай для інтэлектуалаў і ненатуральнай для прадстаўнікоў асноўнай масы інтэлігенцыі (перш за ўсё — настаўнікаў), дзякуючы намаганьням якой у першую чаргу й ствараюцца нацыі. Магчыма, гадоў праз 10-15, калі падрасьце новае пакаленьне, паляшуцкі рух разгорнецца з новай сілаю. Разам з тым параза сёньняшняй паляшуцкай ідэі робіць для Беларусі дастаткова актуальнай праблему — украінскіх прэтэнзіяў на тэрыторыю Палесься.

Разуменьне палешукоў у якасьці ўкраінцаў характэрна для ўсёй украінскай нацыянальна-інтэлектуальнай традыцыі. Заўважым, што ў апошнія гады актыўнасьць Украіны ў гэтым напрамку значна павялічылася. Дастаткова нагадаць упартае змаганьне за ўкраінізацыю на, скажам, нэўтральнай тэрыторыі — на Беласточчыне, прыкладам чаго зьяўляецца выдаваньне ўкраінскага часопісу “Над Бугом і Нарвою” або захады Акадэміі навук Украіны да вывучэньня ўкраінцаў у Беларусі (справа, зразумела, добрая, але ў гэтым кантэксьце падазроная). Дададзім да гэтага й пазыцыю ўкраінскай амбасады, адпаведна якой у Беларусі жыве 1,5 млн. украінцаў (Форум, № 1, с. 18) або “Інформаційного бюлетеню” — выданьня Міністэрства Украіны пра справах нацыянальнасьцяў, міграцыі й культаў (падкрэсьлім — афіцыйнае дзяржаўнае выданьне), у нумары два якога за 1995 год сьцьвярджаецца, што “етнічною українською територією є Берестейщина” (с. 56). Канечне, можна казаць, што ўсё гэта робіцца дзеля захаваньня ідэнтычнасьці ўкраінскай меншасьці. Аднак ня трэба забываць, што памкненьні да тэрытарыяльнай анэксіі Палесься Украіна дэманстравала яшчэ ў XVII ст. і двойчы зьдзейсьніла іх падчас Першай і Другой сусьветных войнаў. У сувязі з гэтым узьнікае пытаньне, ці разумее “ўкраінскі бок”, што заявы адносна “ўкраінскай этнічнай тэрыторыі” хвалі захапленьня у Беларусі ня выклічуць.

Павал Церашковіч

“Форум”, н-р 2, зіма 1995-1996

Wygonić Białorusinów

Jedną z cech rządów niedemokratycznych jest działanie wbrew woli większości obywateli, bez uczciwego uzasadnienia tego procederu. Tak też należy postrzegać umowę między Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego a Radą Komisarzy Ludowych Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej z 9 września 1944 r. o ewakuacji Białorusinów z Białostocczyzny do Białorusi, zaś Polaków z BSRR do Polski. Pierwotny zamiar komunistycznych teoretyków był taki, że jeżeli zlikwiduje się białoruską mniejszość narodową, to automatycznie znikną wszelkie problemy narodowościowe w regionie. Rzeczywistość okazała się bardziej skomplikowana niż pomysły zawarte w porozumieniu. Kiedy zdecydowana większość Białorusinów nie opuszczała swojej małej ojczyzny, to tzw. „demokratyczne władze" — nie godząc się z porażką — zaczęły ograniczać ich prawa obywatelskie. Jednym z restrykcyjnych przedsięwzięć było zlikwidowanie szkolnictwa białoruskiego w 1946 r.

Na około 150 tysięcy Białorusinów, którzy zamieszkiwali Białostocczyznę wyzwoloną spod okupacji niemieckiej, do ZSRR od jesieni 1944 r. do połowy 1946 r. wyjechało około 35 tysięcy. Umowa polsko-radziecka o przesiedleniu ludności nie spełniła więc zamierzonego celu, czyli wyrugowania mniejszości białoruskiej z państwa polskiego.

Uzasadniona przy tym wydaje się teza, iż na Białostocczyźnie powojenna wymiana ludności wręcz zaogniła stosunki polsko-białoruskie. Na jej poparcie można podać dwa powszechnie występujące wówczas zjawiska. Pierwszym była niechęć ludności białoruskiej do tzw. „repatriantów", których agendy Państwowego Urzędu Repatriacyjnego osiedlały na gospodarstwach osób, które wyjechały do ZSRR. Motywy niechęci do „obcych" nie rodziły się jedynie w sferze psychologicznej. Miały one uwarunkowania bardzo wymierne, przede wszystkim ekonomiczne, gdyż w przeludnionych wsiach białoruskich i bez nowych osadników był duży niedobór ziemi uprawnej. Większość miejscowych rodzin na swych kilkuhektarowych gospodarstwach wegetowała, ledwie wiążąc koniec z końcem. W tych trudnych warunkach „obcy" byli uznawani za intruzów i wrogów.

Drugie zjawisko, to terror oddziałów polskiego zbrojnego podziemia wobec Białorusinów, w celu dokonania czystki etnicznej we wschodniej Białostocczyźnie. W jakimś stopniu do umasowienia tego procederu przyczyniła się właśnie akcja przesiedleńcza, rozpoczęta jesienią 1944 r., którą organizowały specjalne radzieckie misje działające na terytorium Polski. Paradoksalnie, nieraz agresywna propaganda radzieckich urzędników zbiegała się z zastraszaniem i fizycznym wypędzaniem Białorusinów do „sowieckiego raju" przez bojówki organizacji Wolność i Niezawisłość oraz Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Jedni i drudzy dążyli różnymi drogami do tego samego celu — wypędzenia Białorusinów z Białostocczyzny.

Publikowane pismo rejonowego inspektora osadnictwa w Walilach Juliusza Gawrysa ukazuje sytuację we wschodniej Białostocczyźnie na początku 1945r., dokładnie wyróżniając problemy, z jakimi przyszło się wtedy borykać szerokim rzeszom Białorusinów. Przesiedlenie do ZSRR nie dało oczekiwanego przez władze polskie i radzieckie rozwiązania, a życiorysy osób, które wyjechały, świadczą, że przyniosło wiele tragedii w czasie tułaczki i po osiedleniu w państwie radzieckim.

Dokument znajduje się w Archiwum Państwowym w Białymstoku.

Sławomir Iwaniuk

Podczas objazdu powierzonego mi terenu stwierdziłem, że sprawa osadzania na opuszczonych przez przesiedlonych do BSSR gospodarstwach repatriantów-Polaków jest zwłaszcza na terenie gminy Gródek bardzo niepopularna, zwłaszcza wśród zamieszkującej tam w ogromnej większości ludności białoruskiej. Ludność ta, zresztą autochtoniczna na tym terenie, w przytłaczającej większości nie zamierza obecnie w ogóle przesiedlać się do BSSR, wyrażając życzenie pozostania w granicach Państwa Polskiego. Świadczy o tym najdobitniej całkowity brak zgłoszeń chętnych do wyjazdu u Przedstawicieli Rejonowych dla spraw ewakuacji. Nawet zapisani poprzednio kandydaci odmawiają się obecnie od wyjazdu, podając najrozmaitsze wymijające powody. W rozmowach przeprowadzonych z miejscową ludnością na terenach gminy Gródek, pow. Białystok oraz Krynki i Szudziałowo, pow. Sokółka, które wchodzą w skład mego rejonu, doszedłem do przekonania, że ludność tą można podzielić na dwie kategorie w zależności od jej nastawienia do istniejącego na tut[ejszym] terenie ustroju. Przytłaczająca część ludności dowodzi, że od lat zamieszkuje te tereny, czuje się związana z państwowością polską i w żadnym wypadku nie zamierza stąd przesiedlać się, chyba że będzie do tego zmuszona siłą. Druga, nieznaczna część, jednak dość aktywna i wpływowa, uważa ziemie te za wyłącznie białoruskie, nie zgadza się z istniejącym stanem rzeczy, ale pomimo swoich zastrzeżeń nie zamierza stąd ewakuować się.

Główną przyczyną zaobserwowanej niechęci miejscowej ludności dla poczynań Wydziału Osadnictwa PUR i zamiaru osiedlenia [na] opuszczonych gospodarstwach repatriantów z BSSR jest istniejący stan agrarny na terenie mego rejonu. Gleba na tym terenie jest piaszczysta, klasy V-VI o dominującej klasie VI, a w pewnych okolicach przechodzi w lotne piaski, nadające się tylko pod zalesienie. Łąki nie zmeliorowane, o b[ardzo] słabym poroście traw kwaśnych, jednokośne, o zbiorze siana ok. 30 metr[ów] z 1 ha. Pastwiska wspólne, gromadzkie, niezagospodarowane, stanowią raczej nieużytki. 80% wsi nieskomasowanych. Grunty orne rozrzucone w szachownicy niejednokrotnie po 10 i więcej kawałków na jedno gospodarstwo, nadmiernie wydłużone, o bardzo wąskich parcelach. Parcele, 3 metr[ów] szerokie i 3.000 metr[ów] długie, są normalnym zjawiskiem w przeważającej części miejscowości. Ponadto znaczna część gospodarstw miejscowych, często ponad 50%, są to gospodarstwa karłowate o obszarze niżej 5 ha, nie dające możliwości wyżywienia średniej rodziny rolniczej, złożonej z 5 osób.

Z powyższych, czysto gospodarczych względów wszczęcie na tym terenie poważniejszej akcji osadniczej byłoby niepożądanym, gdyż miejscowe stosunki agrarne są zasadniczo znacznie gorsze od stosunków panujących w b[yłym] wojew[ództwie] nowogródzkim i wileńskim, skąd rekrutują się rolnicy-repatrianci. Osadzanie na tego rodzaju glebach rolników, przyzwyczajonych do

lepszych gleb i skomasowanych gospodarstw naraziłoby ich na wegetację i znacznie obniżyłoby ich stopę życiową, stwarzając tylko ogólne rozgoryczenie i fermenty. Ponadto, jak stwierdziłem podczas lustracji opuszczonych gospodarstw — pozostawione przez przesiedleńców domy w 80% znajdują się w stanie nie nadającym się do zamieszkania, gdyż są to albo domy b[ardzo] stare, walące się, albo chociaż nowe i w dobrym stanie, ale zostały tak gruntownie zdewastowane (brak okien, drzwi, pieców), że wymagają dużego i kosztownego remontu. Zniszczeń dokonali przeważnie sami przesiedleńcy, zabierając ze sobą wszystko, co tylko dało się.

Wobec powyższego uważam za wskazane.

1/ Akcją osadniczą objąć tylko gospodarstwa o dobrych zabudowaniach, nie wymagających większych remontów, we wsiach skomasowanych, względnie nie skomasowanych, ale posiadających lepsze grunty, przydzielając na każde gospodarstwo osadnicze 10-15 ha gruntów w zależności od jakości gleby, wielkości rodziny, ażeby w ten sposób stworzyć mocne i żywotne warsztaty pracy. W wypadku braku gospodarstw o takich obszarach — łączyć po kilka gospodarstw mniejszych w jedną całość.

2/ Grunty, które z jakichkolwiek względów nie nadają się pod osadnictwo (brak odp[owiednich] budynków, nieodpowiednia gleba itp.) przekazać urzędom ziemskim na uzupełnienie mniejszych, drobnych gospodarstw.

3/ Budynki nie nadające się do zamieszkania celem uniknięcia rozbiórki — sprzedać na rozbiórkę i zniesienie po cenach szacunkowych, gdzie w krótkim czasie zostaną rozkradzione na opał.

4/ Budynki zdemolowane, lecz nadające się po większym remoncie do użytku — sprzedać po cenach szacunkowych miejscowej ludności na zniesienie, z uwzględnieniem w pierwszej kolejce potrzeb bezdomnych, których budynki zostały spalone podczas działań wojennych.

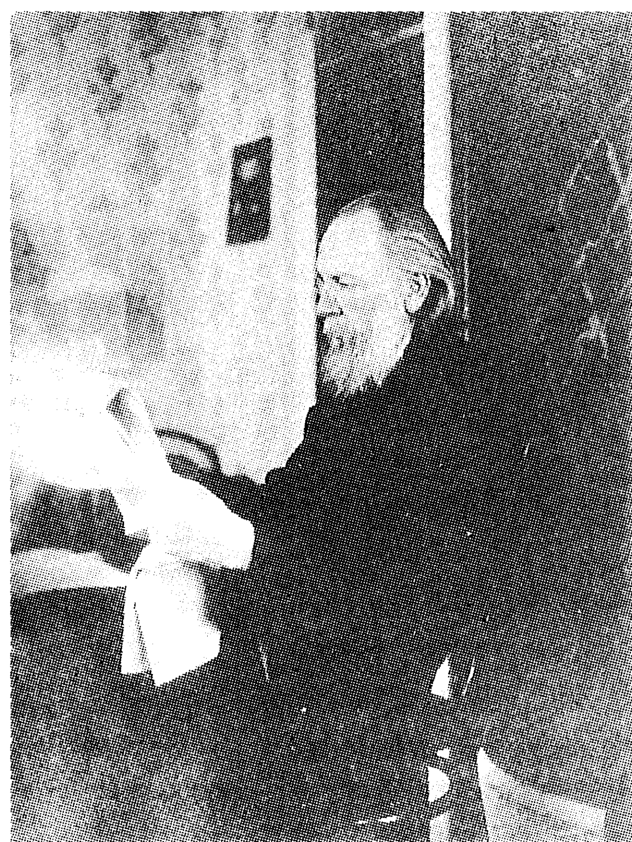
5/ W związku ze zbliżającą się wiosną, w wypadku braku transportów z repatriantami opuszczone grunty bez względu na ich późniejsze przeznaczenie przekazać przy współudziale miejscowych władz administracyjnych i Zw[iązku] Samopomocy Chłopskiej miejscowej ludności dla tymczasowego korzystania.

Rej[onowy] Insp[ektor]
Os[adnictwa]
J. Gawrys

Marta Szachowicz

Klenickie zapiski

W Klenikach (Kleniki — nazwa historyczna, współczesna nazwa urzędowa — Klejniki — red.) *złapano szajkę złodziei. Już dwa lata okradali mieszkańców. Cała piątka to tutejsi chłopi. Oto jak ich pochwycono. Ukradli złodzieje przyjezdnemu Rosjaninowi 440 wyprawionych owczych skór. Dowiedziawszy się, kto jest głównym atamanem bandy, ruski kuśnierz obiecał zorganizować mu flaszkę, jeśli tylko odzyska skóry. Opowiedział o tym gospodarzowi, u którego wynajmował kwaterę, a ten dał znać innym chłopom. W nocy, kiedy złodzieje przynieśli skradzione skóry, cała wieś podniosła się na nogi. Zawołali urzędnika i aresztowali kompanię. Pobili przy tym mocno złodziei (co już nie było dobre, bo prawo i tak ich ukarze) i zaprowadzili do sądu gminnego...*



O. Jan Chlebcewicz w czasie bieżeństwa w Suzdalu
Fot. „BZH"

Tak donosił w 1908 r. klenicki korespondent „Naszej Niwy", Chalimon z-pad puszczy, czyli Jauhien Chlabcewicz, syn proboszcza Jana Chlabcewicza. „Nasza Niwa" była wówczas tygodnikiem o tematyce społeczno-politycznej i literackiej, wydawanym w Wilnie w latach 1906-1915 w języku białoruskim.

Chłopi tak się rozsierdzili, że na zebraniu gminnym wszyscy jak jeden uchwalili, żeby wysłać złodziei na Sybir. Zebrali nawet po 35 rubli na każdą zsyłkę. Tylko przywódca uciekł jeszcze tej samej nocy kiedy został aresztowany. Uciekając strzelił nawet cztery razy z rewolweru, ale nikogo nie trafił. Policja go szuka.

Jeszcze dzisiaj w okolicznych miejscowościach można nieraz usłyszeć: — U nas to nic ciekawego się nie dzieje. Ale zajrzyjcie do Klenik, to dopiero wieś.

Kleniki składają się z trzech części. Położone wzdłuż szosy Bielsk Podlaski-Narew ciągną się prawie trzy kilometry i liczą 165 gospodarstw. Warto wyjechać siedemnaście kilometrów za Bielsk, żeby zwiedzić tę niezwykle ciekawą, a mimo to bardzo mało znaną wieś. Tutejsi mieszkańcy dbają jednak, aby było o nich głośno, przynajmniej w najbliższej okolicy.

Pamiątki po najeźdźcy

W niedzielne popołudnie wieś jest pełna ludzi. Siedzą na ławkach i rozmawiają o bardziej lub mniej sensacyjnych wydarzeniach. Staruszek żali się na brak tych ostatnich: — Stary człowiek też chciałby jakichś rozrywek. Siedzę tak sobie i wyglądam, czy przyjdzie ktoś wesoły do mnie. Na razie przychodzi tylko sąsiad. A przeżyłem już tyle lat. Dużo pamiętam, wojnę, tę carską. Kto do Rosji pojechał, i kto wrócił. Od nas to wszyscy oprócz dwóch rodzin wyjechali. I jak Niemcy przyszli pamiętam...

Dokładny i bardzo obrazowy opis wsi z czasów wielkiej wojny można odnaleźć we wspomnieniach pochodzącego z tych okolic Tichona Trofimiuka, które kilkanaście lat temu opublikowała białostocka „Niwa": *Nadszedł lipiec 1914 roku. Rok, w którym ukończyłem klenicką szkołę. Pamiętam, tego dnia po obiedzie przeszła gwałtowna ulewa. Wszyscy wrócili z pola. Przyszedł do nas starosta i powiedział ojcu: „Michaił, wojna z Niemcami!" Następnego dnia, chociaż była dobra pogoda, nikt nie poszedł w pole. Mężczyźni, którzy szli do wojska, żegnali się z bliskimi. W każdej chacie płacz.*

Początkowo było spokojnie. Ale od lipca 1915 roku odgłosy zbliżającego się frontu były z każdym dniem coraz głośniejsze. Nocą na niebie było widać wielkie łuny pożarów. Dniem — chmury dymu.

Rosyjska armia cofała się, przez naszą wieś gnano wielkie tabuny rogacizny i stada owiec. Od kilku dni nieprzerwanym potokiem, dniem i nocą, kolumny rosyjskiej piechoty posuwały się na wschód. Razem z wojskami jechały na swoich furmankach całe obozy wieśnia-


Porośnięty mchem kamienny cokół dawnego pomnika cara Aleksandra II. Imperator stał w centrum Klenik, obok cerkwi, do 1914 roku

Fot. J. Kalina

ków. To byli bieżeńcy, którzy uciekali od linii frontu.

Nasza rodzina również szykowała się do odjazdu. Front był już w Bielsku, szesnaście kilometrów od nas. Przyjechało kilka wozów z czerwonym krzyżem. Za nimi szli lekko ranni żołnierze, owinięci bandażami, przez które sączyła się krew...

Pożegnawszy się na zawsze z domem rodzinny, wyjechaliśmy na ulice i wtopiliśmy się w strumień ogólnego ruchu na wschód. Sami nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy...

W Klenikach pozostały pamiątki po carskich czasach i obu wojnach. Niedaleko cerkwi stoi porośnięty mchem postument, brak tylko na nim pomnika.

— Do 1914 roku stał tu pomnik Aleksandra II, „oswoboditiela od panszczyny" — mówi ksiądz Aleksander Wysocki, proboszcz parafii i dziekan okręgu narewskiego. — No, ale w czternastym roku, jak go zabrali, to już nie wrócił.

Nie opodal widać chylący się ze starości krzyż. Postawiono go w początkach XIX wieku, by powstrzymać pomór bydła.

W centrum Klenik stoi, pomalowana na biało, nieduża kaplica. Obok symboliczny grób kilkunastu żołnierzy radzieckich, którzy w tym miejscu zginęli. Podobny pomnik wystawili miejscowi strażacy przed remizą. Przed cerkwią stoi kilka krzyży. — To za ludzi, którzy zginęli podczas pierwszej i drugiej wojny światowej, na frontach, w obozach koncentracyjnych i za wywiezionych na Syberię. Modlimy się tu i często wspominamy... — opowiada ksiądz.

Oprócz środkowej części Klenik, tzw. *Klebanszczyny* (nazwa pochodząca od „plebanii"), jest jeszcze *Zahat'* i *Kunec'*. *Zahat'* jest położony od strony Bielska i tam właśnie rozpoczyna się wieś.

Za dużo sklepów

— Słowo *hat'* mogło kiedyś oznaczać przeprawę przez bagno lub — jak mówi ksiądz Aleksander — *hadość*, coś złego, niedobrego, inaczej błoto. Osada, która powstała *za toj hadostiu* to *Zahat'*. Rzeczywiście dzieli ją od głównej części wsi kawałek przestrzeni, na której teraz pasą się krowy i konie, a dawniej rozciągały się bagna. Wieś otacza pięć kolonii-uroczysk: *Sliwowo*, *Buryckie*, *Sapowo*, *Tynkowszczyzna* i *Obezianowo*. Część mieszkańców wsi, opuściwszy Kleniki, osiedliła się w polu, tworząc tzw. chutory.

W Klenikach urzęduje dwóch sołtysów. Jeden z nich jest też radnym i jednocześnie komendantem miejscowej straży pożarnej. — Żyje nam się średnio. Sklepów mamy za dużo. Pieniędzy nie ma, a sklepy aż trzy, i dwa z tego to prywatne — opowiada. No, a teraz to budujemy własny ośrodek zdrowia. Mamy własny strażacki wóz bojowy. We wsi jest też jeden meteorolog.

W Klenikach jest poczta i duża szkoła podstawowa, do której uczęszcza 111 dzieci. Szkoła ma własną bibliotekę, zresztą we wsi nie jedyną.

Biblioteka

Pisało się w „Naszej Niwie" o klenickich chłopach, jako że posłuchawszy jednego pijanicy, nie zechcieli na zebraniu dać pieniędzy na bibliotekę. Pijak im powiedział: „Za 5 złotych to ja lepiej kupię Psałterz — będzie mój na zawsze, a książki w bibliotece nie moje". Ale teraz pokazali nasi chłopi, że za nos to można ich wodzić tylko do czasu, dopóki nie zrozumieją sami co złe, a co dobre. Otóż, chociaż na zebraniu nie przyznano pieniędzy na bibliotekę (bo do tej pory pieniądze te po prostu przepijano), chłopi sami zaczęli ją utrzymywać, płacąc po kilka kopiejek za czytanie. Dobrze chociaż, że włożywszy w bibliotekę swoje własne pieniądze będą pamiętać, że jest ona ich własna, będą sami się o nią martwić, i o to jak ją utrzymać. Bibioteka tylko wtedy może się rozwijać, tylko wtedy nie przepadnie, kiedy sam naród zadba o nią. Wydaje się, że kleniccy chłopi poznali już tę świętą prawdę — Chalimon z-pad puszczy.

Dziś mało kto w Klenikach pamięta o


Dziewiętnastowieczny drewniany krzyż. Postawiono go w intencji ochrony bydła przed pomorem Fot J. Kalina

dawnej bibliotece-czytelni im. Pawlenkowa. Założył ją Jauhien Chlabcewicz. Księgozbiór wzbogacił sam Lew Tołstoj, który oprócz własnych dzieł, przysłał w 1909 r. wiele książek z prywatnych zbiorów. Wielki pisarz korespondował też z mieszkańcami Klenik.

W czasie I wojny książki zginęły. Od trzydziestu lat działa jednak nowa biblioteka. I cieszy się dużą popularnością. Przychodzą tu uczniowie, ludzie starsi, emeryci. Mieści się w przestronnej remizie strażackiej, w centrum wsi, obok sali, w której odbywają się wiejskie zabawy. Utrzymuje ją urząd gminy. Teraz wszyscy mieszkańcy uważają, że książki to potrzebna rzecz.

Pożar cerkwi

W 1973 roku w Klenikach spłonęła drewniana cerkiew *Wozniesieńska*. Wraz z nią piękne, stare ikony, wiele książek i przecudna płaskorzeźba na carskich wrotach. Po pożarze okazało się, że w piwnicy pod zakrystią schowana była cała biblioteka. Ukrył ją tam syn proboszcza Chlebcewicza. Proboszcz wyjechał w głąb Rosji, do Klenik nie wrócił też jego syn. Dopiero kiedy pożar strawił cerkiew odkryto bezcenne zbiory: akta ziemskie, akta królewskie, nadania, dokumentację parafialną. Chłopi wszystkie nadpalone rzeczy zebrali i spalili. — Ja wiem, że na wsi prości ludzie mogą się na tym nie znać, nie rozumieć. Ale żeby proboszcz nadzorował to wszystko?! — wciąż nie może ukryć oburzenia ksiądz Wysocki. — Tego się po prostu nie da wytłumaczyć!

Przyczyny pożaru do dziś pozostają niewyjaśnione. Według oficjalnej wersji proboszcz zostawił włączony piecyk elektryczny. Ksiądz Wysocki woli nie zajmować stanowiska w tej sprawie. Ostatecznie jednak stwierdza: — Oczywiście najprościej powiedzieć, że od elektryczności. Nie ma winowajcy, więc nie trzeba szukać dowodów. Dopiero przykład Grabarki pokazał, że cerkwie płoną nie tylko od prądu.

W miejscu spalonej świątyni stanęła nowa — murowana. W porównaniu z kolorowymi cerkiewkami podlaskiej wsi — niemal monumentalna. Od razu stała się symbolem dzisiejszych Klenik.

Przed wejściem do środka proboszcz musi wyłączyć alarm. — Za starych czasów wystarczającym zabezpieczeniem był sznurek i kawałek kija. A teraz co się porobiło?!

W środku uwagę przykuwa bogato zdobiony, pokryty złotem, ikonostas. Są tu trzy nawy, oddzielone od siebie dwoma rzędami kolumn. Z oszklonej gabloty ksiądz wyjmuje tutejszą relikwię — XIX-wieczną, uratowaną od ognia, Ewangelię. Jest to duża księga w sczerniałej, nadpalonej okładce. — Można śmiało powiedzieć, że Słowo Boże jest trwalsze od spiżu. Tyle rzeczy spłonęło, a Ewangelia pozostała.

Pozostał też jeden srebrny kielich, używany w czasie liturgii, oraz szata duchownego.

Nowa cerkiew nie ma jednak najszczęśliwszego rozwiązania architektonicznego. Połączono tu murowany styl staroukraińskiego budownictwa sakralnego z wzorem narzucanym w XIX wieku przez rosyjskich zaborców.

— Od początku jak tu jestem, stale są kłopoty z dachem — żali się gospodarz. — Woda źle spływa i wciąż tworzą się nowe zacieki. Nie ma na to rady. Ludzie nie chcą już tak chętnie składać ofiar. Próbowano odtworzyć poprzednią cerkiew, ale drewniana architektura jest zupełnie różna do murowanej. Zachowano dwie kopuły, a budowle krzyżowe wymagają pięciu. Ludzie chcieli zaakcentować poprzez bryłę świątyni swoje korzenie. A teraz cały czas trzeba do tego dokładać.



Nowa cerkiew — symbol dzisiejszych Klenik — Fot. J. Kalina

Ślady przeszłości

W Klenikach przed świętami Bożego Narodzenia odbyło się zebranie gminne, na którym ustalano rozdział wydatków na rok 1908. Postanowiono przyznać: pisarzowi — 480 rubli pensji rocznie, ale bez „podatku zbożowego"; przewodniczącemu — 140 rubli, jak w zeszłym roku. Gminnym sędziom, za branie chaborów, radni początkowo nie chcieli dawać niczego. Później, przypomniawszy sobie, że władze same mogą naznaczyć sędziom pensje, jeśli się tego nie zrobi na zebraniu, postanowili wyznaczyć im najmniejszą możliwą zapłatę. „Niech się odwołują, jeśli im mało" — krzyczała gromadka.

Żandarmowi, który żyje w Bielsku, postanowili dać 15 rubi na mieszkanie i za to żandarm dał zebranym dwa ruble „gościńca". Wtedy z radości posadzono żandarma na krześle i zaczęto podrzucać do góry... Oto jacy są u nas radni: za chabora zrobią wszystko! Kiedyś chabory na zebraniu brali tylko krzykacze, a wszyscy inni ciągnęli gorzałkę w gminnej stodole. Ale teraz zmiarkowali, że wygodniej swoje sumienie sprzedać za gotowe pieniądze!.. — Chalimon z-pad puszczy.

Bardzo możliwe, że to bogate i ciekawe klenickie życie miało swoje korzenie w mieszczańskiej przeszłości. O tym, że Kleniki były kiedyś miasteczkiem, opowiadają dumnie niektórzy mieszkańcy. W centrum znajdował się plac rynkowy, na którym targowano dobytkiem i wyrobami rzemieślniczymi oraz miejsce straceń, zwane *Łobnym miescom*. W XVI wieku miejscowość nazywano Zygmuntowem. W czasie rozbiorów wróciła nazwa Kleniki. Pierwsza pisana wzmianka o „ziemi Klenikowiczów" pochodzi z 1540 roku. O założeniu osady dowiadujemy się tylko z legendy.

W XIII wieku Tatarzy najechali Kijów. Mówiono, że „tam gdzie przejdzie Orda,

trawa nie rośnie". Ocalało zaledwie dwieście domostw. Najeźdźcy zagrabili majątki, wywieźli kosztowności i sprzęty liturgiczne ze świątyń. Tatarzy mordowali wojowników, kobiety, dzieci i starców. Do Brześcia nad Bugiem nie sposób było dojechać z powodu nieznośnego odoru, wydzielanego przez rozkładające się ludzkie trupy. W tych krwawych czasach grupa mnichów z Monasteru Peczerskiego opuściła miasto w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia. Uciekając przed najeźdźcą dotarli w okolice dawnej Puszczy Błudowskiej. Pośród bagien znaleźli tu źródło bardzo dobrej wody. Mnisi wybudowali cele i rozpoczęli życie pustelnicze. Nie od razu wzniesiono cerkiew i wprowadzono regułę wspólnoty. Początkowo mnisi wprowadzili tzw. „kielejnoje prawiło" — każdy pracował i modlił się samodzielnie. *Kielija* w języku staro-cerkiewno-słowiańskim oznacza celę.

— To że mnisi po tatarskim najeździe osiedlili się na naszym terenie, to fakt autentyczny — zarzeka się ksiądz Aleksander. — Monastery były przecież w Dubiczach Cerkiewnych, Sakach i za Narwią, w Odrynkach. Tutaj było bezpiecznie.

***

Wyrokiem zebrania gminnego wysłano niedawno z Klenik 5 chłopów złodziei do Wiatskiej guberni. Korzystając z przykładu Klenik, inne wiejskie zgromadzenia zaczęły wydawać podobne wyroki i zsyłać koniokradów i złodziei. Wiadomo, dobrze odczepić się od złodziejstwa, ale czasem źli ludzie tak pokierują ciemnymi chłopami, że mogą postanowić o wysyłce i niewinnego człowieka.

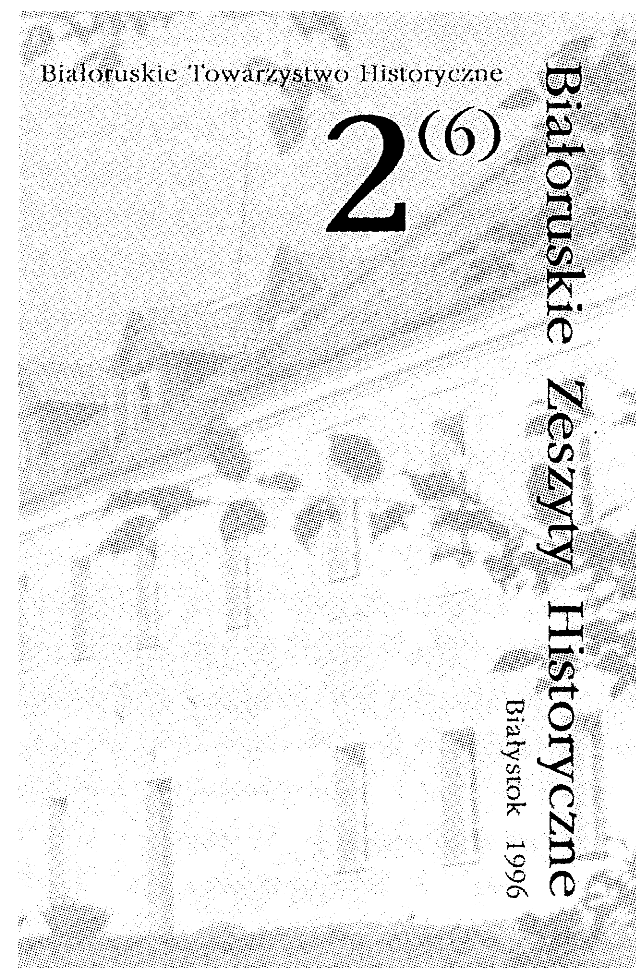
Z Leniewa chciano zesłać Iwana Malisza: znaleziono u niego mnóstwo wytrychów i kluczy. Ale zebranie gminne w Klenikach nie zatwierdziło tego. Wszystko to dobrze, ale bieda w tym, że na zebraniu wszyscy pili gorzałkę. Sądziło, jak mówią, nie sumienie, a „monopolka"! Znaczy, że za gorzałkę można człowieka i uniewinnić, i skazać. A klenickie władze gminne i radni niezbyt dobrą sławą się cieszą: w stodole przy butelce rozpatrują czyja wódka smaczniejsza...
— Michałka-Zapałka („Nasza Niwa").

Od tamtych czasów zmieniły się obyczaje klenickich radnych. Można co najwyżej posądzić o kumoterstwo radnego-sołtysa, który „po znajomości" hojną ręką załatwia dotacje na zakup książek żonie-bibliotekarce. Nikt się jednak nie skarży na tę „niesprawiedliwość"...

Marta Szachowicz

■ **RECENZJE**

Okiem obserwatora



„Białoruskie Zeszyty Historyczne" przyzwyczaiły swoich stałych czytelników do solidnego poziomu prezentowanych tekstów. Lawina pozytywnych recenzji, uznane autorytety wśród autorów publikujących w poszczególnych numerach (np. prof. Stanisław Alexandrowicz z Torunia) wyrobiły wydawnictwu Białoruskiego Towarzystwa Historycznego zasłużoną opinię pisma rzetelnego merytorycznie i na ogół wyważonego w sądach.

Kolejny, szósty już numer „BZH" podtrzymuje dobrą passę wydawnictwa. Wśród prezentowanych artykułów uwagę zwracają przede wszystkim teksty Teresy Chynczewskiej-Hennel i Mirosławy Papierzyńskiej-Turek traktujące o problemach unii brzeskiej (kolejny przyczynek do dyskusji w czterechsetną rocznicę wydarzenia). Obie autorki to osoby znane w środowisku polskich historyków, a ich dorobek naukowy ciągle stanowi inspirację kolejnych prac magisterskich na seminarium Europy Wschodniej w Instytucie Historii białostockiej Filii Uniwersytetu Warszawskiego.

Swoje artykuły publikują także Antoni Mironowicz (o genezie bractw cerkiewnych) i Eugeniusz Mironowicz. Ten ostatni porusza problem postawy Białorusinów wobec wydarzeń Polskiego Października 1956 r. Wnioski po lekturze tego tekstu nasuwają nieodparte skojarzenia z sytuacją ludności białoruskiej na Białostocczyźnie w okresie 16 miesięcy „Solidarności" (lata 1980-1981). Jednym z ciekawszych spostrzeżeń, zwłaszcza z perspektywy polskiego czytelnika, jest uwaga o traktowaniu przez Białorusinów pacyfikacji ich wsi przez polskie podziemie w latach 1945-1947 jako przejawu konfliktu o charakterze wyłącznie narodowo-religijnym. Kontekst polityczny krwawych pacyfikacji białoruskich wsi w latach walki z „władzą ludową" wydaje się jednak oczywisty.

Interesujący tekst, oparty na budzącym zaufanie aparacie krytycznym, przedstawia Marek Wierzbicki z Warszawy. „Białorusini w Wojsku Polskim w kampanii wrześniowej 1939 r." to cenne uzupełnienie literatury prezentującej obronę Polski przed agresją niemiecko-sowiecką. Artykuł, chociaż nie zawiera szczególnych rewelacji, a formalistę może zirytować błędnym stosowaniem skrótu nazwy pułku piechoty (powinno być pp, nie zaś PP), to jednak z pewnością zbierze przychylne recenzje — choćby za samo podjęcie tematu, traktowanego dotychczas marginalnie (nawet w obszernych monografiach polskich związków operacyjnych uczestniczących w wojnie obronnej 1939 r.). Tekst M. Wierzbickiego potwierdza oczywistą prawdę, że postawa żołnierzy Wojska Polskiego narodowości białoruskiej bardzo często wynikała z polityki władz sanacyjnych, które w ostatnich latach istnienia II Rzeczypospolitej traktowały problem mniejszości narodowych na Kresach z pożałowania godną lekkomyślnością.

Wśród autorów części poświęconej komunikatom odnajdujemy kolejnego dobrze znanego historyka — Krystynę Gomółkę. Tym razem gdańszczanka informuje czytelników o stanie badań nad dziejami Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi.

Ponad 60 stron Zeszytu poświęcono materiałom źródłowym. Między innymi możemy zapoznać się z zespołem dokumentów związanych z udziałem Białorusinów w wyborach do Sejmu PRL II kadencji 1957 r. Archiwalia zostały starannie i fachowo opracowane, co nie powinno nikogo dziwić, zważywszy na fakt, że autor — Sławomir Iwaniuk, jest pracownikiem Archiwum Państwowego w Białymstoku. Wśród 15 publikowanych dokumentów niezwykle pouczającą lekturę stanowią życiorysy kandydatów na posłów (dok. nr 9 i 10) oraz ocena przebiegu kampanii wyborczej na tere-

nie powiatu siemiatyckiego (dok. nr 15), pełna smakowitych informacji, mimowolnie odsłaniających prawdę o atmosferze i faktycznym przebiegu wyborów. Do profesjonalnej formy tej części BZH wyjątkowo nie dostroiła się korekta, ignorując szereg literówek (np. między stroną 148 a 149 znalazłem cztery).

Całość oferty najnowszego numeru „BZH" uzupełniają: biogram białoruskiego historyka emigracyjnego Jerzego Wiesiołkowskiego (autor A. Mironowicz), polemiki, recenzje, sprawozdania z wystaw i konferencji.

Na zakończenie należałoby wspomnieć o tekstach w języku białoruskim. Jego nieznajomość praktycznie eliminuje krąg czytelników i ewentualnych recenzentów, jednak zasada publikacji w języku Janki Kupały jest zrozumiała — choćby dlatego, że już wkrótce w Białorusi może zakończyć się proces budowy unikalnego modelu demokracji według patentu Aleksandra Łukaszenki i wówczas wydawnictwa Białoruskiego Towarzystwa Historycznego z Białegostoku stać się mogą dla niezależnych historyków w Mińsku materiałem na wagę złota.

Rajmund Kopaczewski (Białystok)

„Białoruskie Zeszyty Historyczne", z. 2 (6), Białystok 1996, Białoruskie Towarzystwo Historyczne, ss. 184.

Najnowszy numer „Białoruskich Zeszytów Historycznych" można nabyć w księgarniach lub wpłacając na konto BTH (PBK I O/Białystok, 11101154-210988-2700-1-61) kwotę 8 zł. Roczna prenumerata dwóch numerów na 1997 r. wynosi 16 zł.

Zakupić można, dokonując wpłaty, również inne pozycje wydawnicze BTH:

„Białoruskie Zeszyty Historyczne", z. 2 (2),1994, 1(3) i 2(4) 1995, 1(5) 1996, cena każdego numeru wraz z wysyłką 7 zł;

W. Choruży, *Białoruski drugi obieg w Polsce 1981-1990*, Białystok 1994, 7 zł;

o. G. Sosna, D. Fionik, *Dzieje Cerkwi w Bielsku Podlaskim*, Białystok 1995, 7 zł.;

O. Łatyszonek, *Białoruskie formacje wojskowe 1917-1923*, Białystok 1995, 13 zł.

■ СПАТКАННЕ З ВЕРШАМ

Aleś Filipowicz

Na święto niepodległości

Opiekowałem się nią jak maleństwem,
Całując jej zranione, skaleczone ręce.
Przychodziłem o świcie i stałem opodal,
Aby, skrzypnąwszy deską od podłogi,
Snu cnotliwego nie naruszyć. Już dawno wyssał
Krew z wampira-króla lud tutejszy,
Świętował na placu, deptał przetarte podeszwy.
A ty wciąż śpisz, i snem tym opuchnięty
Pod białą pełnią śpi ten lud w te święta.

Pobrzękują tylko w katowni prastarej
Łańcuchy do sufitu przykute na stałe.

Tł. Mirosława Łuksza

Szanowna Redakcjo!

Wsiuj redakcyi „Czasopisu" wraz z Czytelnikami wsioho dobroho w nowum rokowi.

Mnuho ostatnio piszetcia o polonizacji środowiska bielorusuw na Biłostoczczyni. Oprócz małoho poczućcia swojeji tożsamości, chęci dowartościowania, je szcze mnuho sitoho czynników. Z sweji obserwacji baczu, szto to neuniknione. Ale ne budu tut rozwodywsia. Wydajetcia mni, szto można tutaj, a nawet treba sobi pomohczy. Chot'by czerez promowanie wsiakich form działalności gospodarczej sered swojich odbiorców. Organizowanie spotkań zainteresowanych z namiraniom stworenia lobby biełaruskoho. Odnym słowom — zintegrowanie biznesmenów z ciekawymi tematami u celowi doradztwa, nakierowania. Wsio toje pośrednio służyłoby utwerdżuwaniowi naszeji kultury, na kotoruj tože można zarobiti, razom promowawszy jeji. Tulko pewny sebe, swojeji wartości, perestanem czutiś hurszy, budem wystupati w swojomu imieniu.

Żywszy kilka lit w Biłostoci, baczu brak jakohoś klubu, lokalu, de panuje „swoja" atmosfera, klimat, szto jakijś czas letit „swoja" muzyka, a obsługa howoryt po „naszomu". Niby odna tretia żyt'eluw Biłostoka to biełarusy, dumaju szto je takoje zapotrybuwanie. Treba tulko chotiti nu i trochu hroszy. Jak chto byw by zainteresowany, ochwotno pohoworyw by, posłuchaw opinii, rad. Budu wdiaczny za odkaz (dosłany na adras „Czasopisa).

Z poważaniom —

Alik

(adras da wiedama redakcji)

Szanowny Obywatelu Jerzy Kalina! Szanowna Redakcjo!

Jestem daleka od nauczania i pouczania kogokolwiek. Stąd, biorąc pod uwa-

■ KONKURS

PYTANIE Nr 1

Jak nazywano tykę, służącą do sterowania tratwami białoruskich flisaków znad Narwi?

PYTANIE Nr 2

Od czego pochodzi nazwa miasta Połock?

Zasady konkursu na str. 2

KUPON Nr 1
NAGRODA MIESIĄCA
Termin nadsyłania: 1997.03.15

KUPON Nr I
NAGRODA GŁÓWNA
Termin nadsyłania: 1997.09.30

gę Pańskie (Wasze) wykształcenie, mój list traktuję jako wielką odwagę.

W podobnym tonie wtórują Panu i inni na temat Białorusi i Łukaszenki. Jednak sytuacja na całym świecie jest nieciekawa. Nie znam z historii ani jednej wojny (być może nie byłam dość pilną uczennicą), gdzie pieniądze, bogactwa i władza nie odgrywały podstawowej roli. Ubierało się je i ubiera w różne „schematy" (ideologię) i „cacka" (insygnia), ale sedno sprawy było i jest to samo.

Pan raczy żartować, że w tej wojnie między Zachodem a Rosją, jest inaczej. Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie, stąd Polska, Węgry i inne państwa odeszły w siną dal. Czy warto płakać po kochankach, tym bardziej, że oni drogo kosztują?

W Afryce i Ameryce Południowej od wieków panują prozachodnie rządy. Dlatego zapytuję: jaki jest dobrobyt, demokracja, poszanowanie praw człowieka w tych krajach? Dlaczego Wietnamczycy byli tak nierozsądni, że zdecydowali się wypędzić Amerykanów? Czy któryś z carów był we Francji, Niemczech itd? Czy sąsiedztwo z Turkami, Tatarami i Polakami w czasach, gdy Rosja była słaba i podzielona, było spokojne, i kto kogo wówczas najeżdżał? Gdy bije się Rosjan, to wszystko w porządku. Ale gdy ci sami Rosjanie zaczynają się bronić i gonić wroga, to krzyczy się o rosyjskim imperializmie?

Pana zdaniem Zachód wie najlepiej jak uszczęśliwić Rosjan i Białorusinów. Być może to Panu odpowiada, jeśli tak — wolna droga. Ja wolę swoje śmietnisko.

Moim zdaniem między Białorusinami a Rosjanami jest taka sama różnica jak między Polakami z Kaszub i góralami.

Czy Białoruś byłaby na mapie, gdyby nie Rosja? Kto w przeszłości bronił jej przed wrogami? Sama? Na temat poszanowania praw człowieka na Zachodzie najlepiej mogliby odpowiedzieć Indianie z rezerwatów, Murzyni, Irlandczycy i przedstawiciele innych narodów.

Nie twierdzę kategorycznie, że to co oferuje Zachód jest gorsze. Ale żeby to przyjąć, trzeba zmienić mentalność Białorusinów o 100 stopni, w tym także religię.

Rozwiązać miotłę i każdą rózgę łamać po kolei potrafi każdy. Ale złamać związaną miotłę nie tak łatwo. O tym wie „każdy żuk i żaba".

Eugenia Kozaczuk
Bielsk Podlaski

Szanowna Redakcjo!

W nawiązaniu do artykułu „Na Czarnym Lądzie" („Czasopis" nr 12/96), chcę zwrócić uwagę na pewne zawarte w nim niedopowiedzenia. Autor tragiczne w skutkach walki plemienne wiąże z eksplozją demograficzną wskutek osiągnięć medycyny. Winą za to ja obarczyłbym też Kościół rzymskokatolicki, który w Rwandzie i Burundi skupia 60-65 proc. społeczeństwa (dane sprzed dwóch lat). Chrześcijaństwo w tych krajach jest religią nową (w przeciwieństwie np. do Etiopii o tysiącsiedemsetletniej tradycji chrześcijańskiej), jego intensywny rozwój przypada na minione półwiecze. Masowe nawracanie się ludności na katolicyzm jest zasługą księży-misjonarzy, którzy w tym celu szli na rozmaite układy z wodzami plemion, a brak z ich strony zdecydowanego sprzeciwu wobec łamania zasad dekalogu doprowadził do upadku moralności, zabójstw, grabieży i rozwiązłości seksualnej. Powszechne zwalczanie nienaturalnych metod antykoncepcji, przy braku propagowania dozwolonych przez Kościół metod regulacji urodzeń, przyczyniło się do ogromnego przyrostu naturalnego, rosnącego w postępie geometrycznym. Oprócz krwawych wojen, innym tragicznym tego skutkiem są setki tysięcy osób zarażonych wirusem HIV, który za kilkanaście lat pochłonie miliony ofiar w czarnej Afryce.

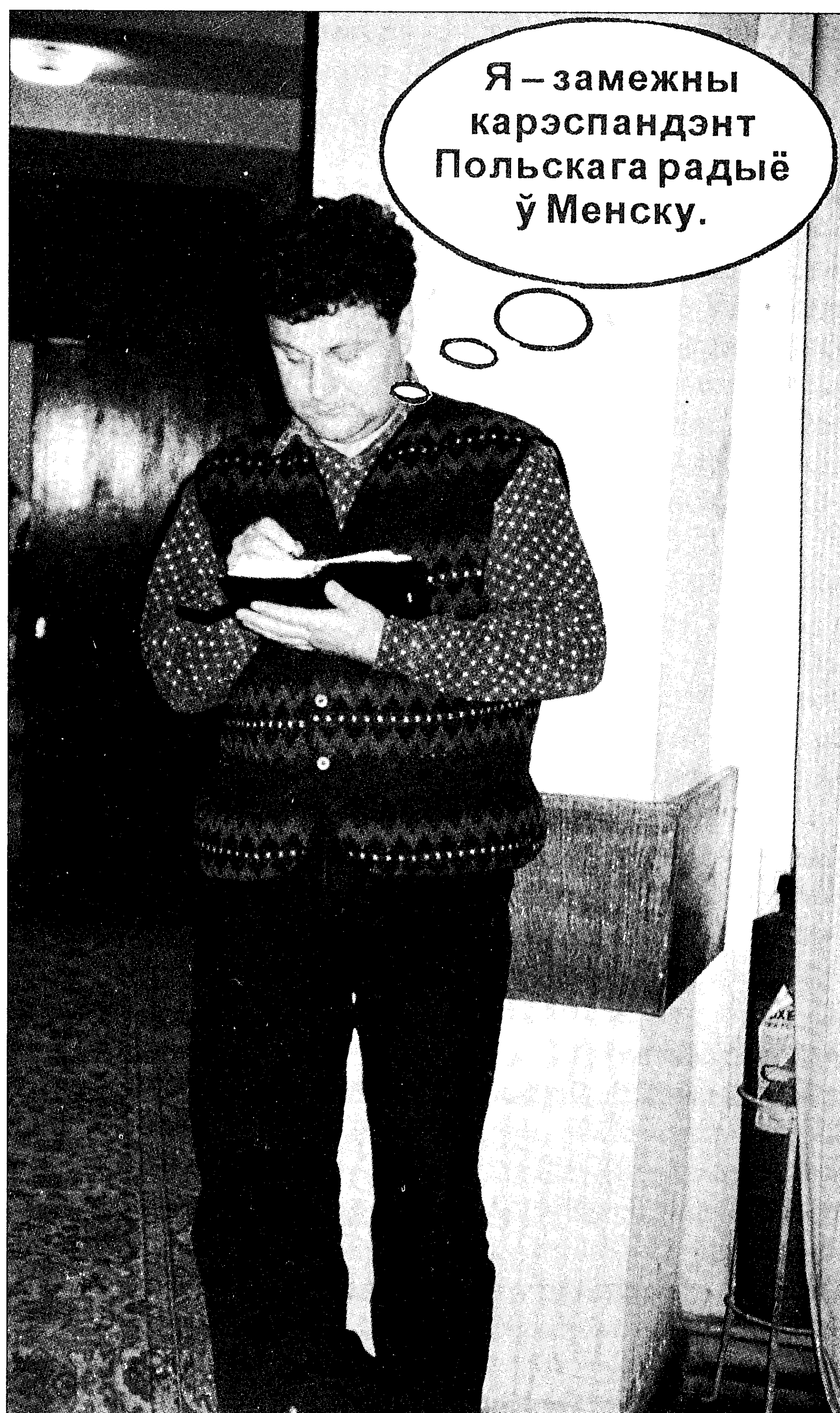
Czy na pewno Bóg tak chciał?

Stały czytelnik
(nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

Czasopis

Czasopis

■ НАШЫ ЧЫТАЧЫ —



HUMOR ZE WSCHODU

Pisarz — autor książek w języku białoruskim do swego kolegi:
— Ty wiesz, w ciągu ostatniego roku liczba moich czytelników się podwoiła.
— Co ty powiesz? To ja do dzisiaj nie wiedziałem, że się ożeniłeś.

Mały Dzima do ojca:
— Tata, powiedz mi, czy to prawda, że w oknach banków kraty są po to, by ludzie się do nich stopniowo przyzwyczajali?

Uczniowie piszą wypracowanie na temat: „Które zwierzę i w czym przewyższa człowieka?" Pawlik zanotował w zeszycie: „Wielbłąd, bo może nie pić wiele tygodni, a mój tata musi codziennie".

Milicjant wraca do domu po służbie.
— Żono! — woła od progu — przynieś mi kapcie, powieś kurtkę i podawaj do stołu. Ale żeby były ogórki, pomidory, gorący bulion i jak najwięcej mięsa.
— Kochanie! — na to żona — a czy nie zapomniałeś czasem wypowiedzieć zaklęcia?
Mąż staje na baczność i krzyczy na całe gardło:
— Wy-y-y-ko-o-onać!!!

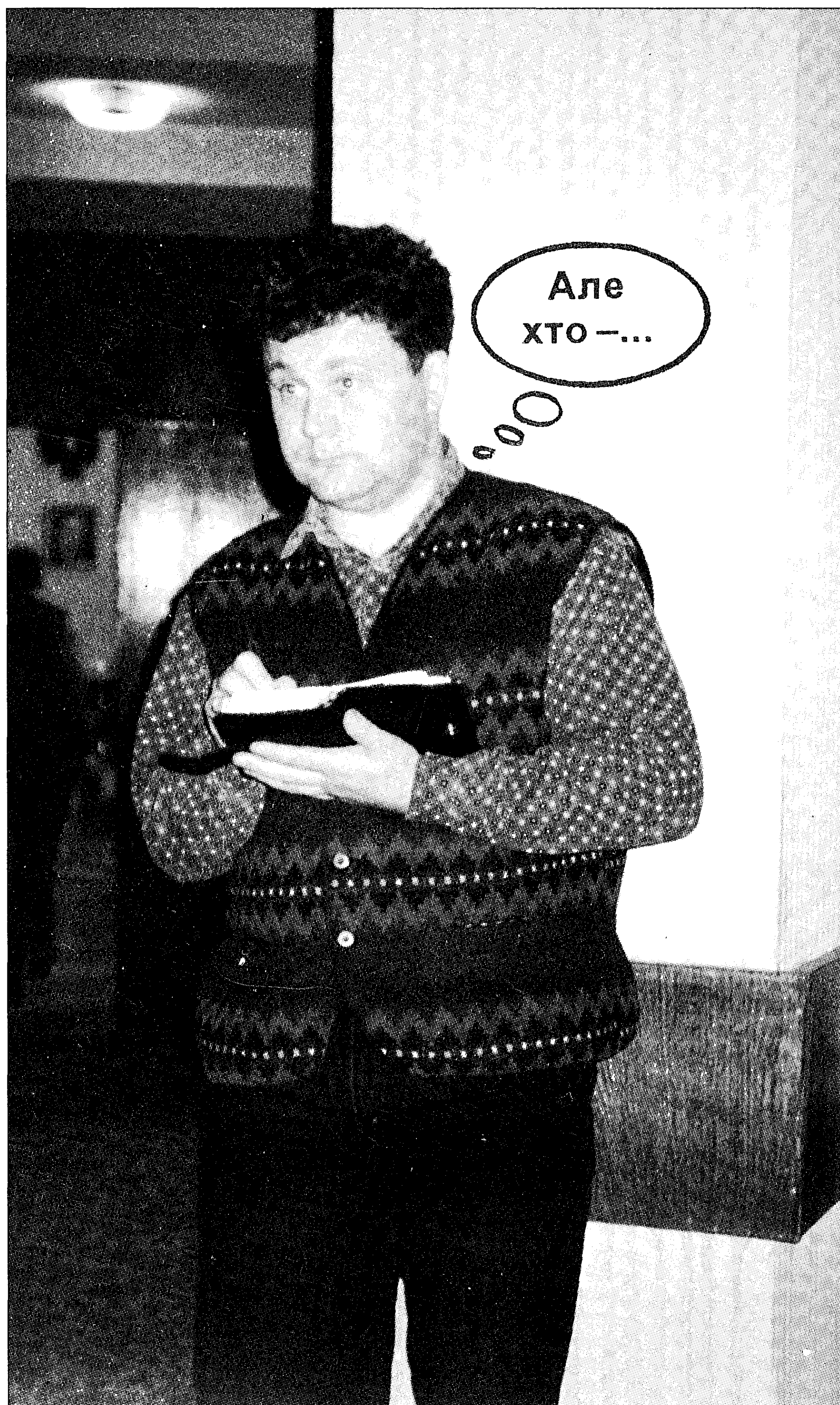
U szewca.
— Dwa tygodnie te buty mogą trochę uciskać. Wytrzyma pan?
— Nie ma sprawy. Dwa tygodnie pochodzę jeszcze w starych.

Noc. Dzwoni telefon. Kobieta budzi się i podnosi słuchawkę.
— Halo!
— Czy może pani powiedzieć, która godzina?
— Pierwsza! — odpowiada zdenerwowana — A pan kim jest!?
— Zegarmistrzem.

Misza pyta kolegę:
— Jak myślisz, czy jest życie na Marsie?
— Tak samo nie...

Do mieszkania na czwartym piętrze przychodzi mężczyzna.
— To pani wzywała szklarza?
— Tak. Proszę iść do dużego pokoju, tam jest wybita szyba w oknie balkonowym.
Kobieta zajęła się swoimi sprawami w kuchni. Po dziesięciu minutach słyszy dzwonek u drzwi.
— Kto tam?
— Szklarz.
— Już nie trzeba, przyszedł pana kolega.
— To nie kolega, to ja. Zwaliłem się na ziemię, cholera...

УЛАДЗІМІР ПАЦ





Юрка & Лёнік

ХРОНІКА

МЯСЦОВАСЦІ



Мал. Яраслава Якімчука

ПАШКУВШЧЫНА

Гэтае пасяленне, распалажанае над рэчкай Белай, на найкаротшым шляху з Орлі ў Боцькі, існавала, відавочна, ужо на пачатку XVI ст. Таямніцу пачаткаў мясцовасці скрывае урочышча Вішнюўка, якое тутэйшыя называюць „Акопамі". У XVI ст. Пашкувшчына, здаецца, доўга была малазначным паселішчам, таму што апісанне Арлянскай воласці з 1577 г. нічога пра яе не ўзгадвае. У 1635 г. існаваў тут адзін з трох фальваркаў Арлянскай воласці, які абслугоўвалі ў асноўным жыхары Топчыкал ды Шэрнюў. Фальварак спецыялізаваўся ў жывёлагадоўлі. Меліся тут таксама 24 вуллі.

У 1655 г. 30 гаспадароў абраблялі тут 7,5 валокі зямлі. Сярод іх былі аж тры кавалі: Трохім, Якон ды Хілімон, якія рабілі па чвэрці валокі зямлі. Столькі ж зямлі ў сярэднім мелі іншыя гаспадары з прозвішчамі: Пулторак, Заневіч, Бурык, Клімовіч, Котовіч, Абрамовіч, Бакуновіч, Ніконовіч, Качановіч, Саўчыц, Кулік. Тры чвэрці меў адно войт Петрыш Мацэнка. Беднякі мелі па 0,1 валокі зямлі.

Большасць сялян шчасліва пратрывала войны паловы XVII ст. У 1663 г. толькі 0,5 валокі ляжала аблогам. У фальварку трымалі ў той час пару соцень авечак.

Небагатая ў зямлю Пашкувшчына (найменшы надзел у Арлянскай воласці) ніколі па велічыні сяла не плялася ў канцы. У 1832 г. налічвала 17 дамоў з сотняй жыхароў. У 1900 г. вёска мела 28 хатаў з 210 жыхарамі. Дзейнічала ў той час царкоўнапрыхадская школа, у якой навучалася каля 20 хлопчыкаў. Школа існавала да 1913 г., калі дзяцей сталі пасылаць у суседняе топчыкальскае народнае вучылішча.

Напярэдадні бежанства Пашкувшчына налічвала больш за 250 жыхароў. Некалькі сем'яў у бежанства не падалося. Іх землякі на пару гадоў апынуліся ў Расії, найбольш у Саратаўскай губерні. Пасля вяртання ў 1923 г. вёску насяляла каля 220 чалавек. На пачатку трыццатых гадоў Пашкувшчына набілітавалася сярод суседніх вёсак пабудовай прасторнай школы. Будынак стаў непадалёку бельска-берасцейскай шашы, каб дзецям з Топчыкал і Кошкаў было таксама блізка ў школу. Пратрываўшы акупацыі, народную ўладу, школу зачынілі у пачатку 90-х гадоў. Цяпер тут дзейнічае бар.

Пашкувшчына вядома набожнасцю людзей, што праяўляецца асабліва ў колькасці ахвярных крыжоў ля дамоў. Адзін з іх пастаўлены ў 1996 г. ля роднага дому братоў Кулікаў, з якіх трох: айцы Аляксандр, Іаан ды Юрый — праваслаўныя святчэннікі. З невялікай Пашкувшчыны выйшлі таксама а. Іаан Лукашук, а. Іаан Баршчэўскі ды а. Мікола Каліна.

Мікола Сахарэвіч